DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYS. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (4), SHUTTERSTOCK (3)

Opinia / M**3**

Tupanie na cienkim lodzie

Awantura wokół TK wpisuje się w szerszy kontekst zagrożeń dla państw europejskich – a każda eskalacja znacznie je zwiększa

utrzymuje Witold Sokała

Prawo / M**5**

Chciałbym się mylić

Należy korzystać z jednoznacznych konstrukcji prawnych, a nie tworzyć nowatorskie koncepcje odwołujące się do dyskusyjnych wartości pozaprawnych

pisze Marcin Wiącek

Wywiad / M**6**

Więcej niż zbrodnia. Błąd

Koalicja do zeszłego piątku mogła uchodzić za obrońców praworządności. Dziś to niemożliwe, bo ludzie widzą oddziały policji w pełnym rynsztunku

mówi Marcin Matczak

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 217 (6886), 6–8 LISTOPADA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl 07e1667bc0

Migracje / M**18**

Żyjemy obok, nie razem

W polskim modelu imigracji przeważa aktywność zawodowa cudzoziemców. Poziom ich asymilacji ekonomicznej jest wysoki, ale społecznej i kulturowej – wręcz przeciwnie

dowodzi Piotr Wójcik

Esej / M**22**

Zahartowani przez historię

To, dzięki czemu Polacy pozostawali Polakami w czasach opresji, stało się naszym paliwem do działania w czasach wolności. Także gospodarczej

twierdzi Sebastian Stodolak



FOT. WOJTEK GÓRSKI

I w której niepodległości chciałbyś żyć?

Jan Wróbel

Pewno wiele osób pamięta tę scenę z „Ojca Chrzestnego" – wielką naradę szefów mafijnych rodzin. Chodzi o przywrócenie pokoju. „Jak mogło tak się stać, że sprawy zaszły tak daleko?" – pyta don Corleone. W końcu wszyscy mieli przecież po prostu robić dobre interesy, a tu wojna na całego.

Na szczęście owa filmowa wojna gangów nie jest zbliżona do rzeczywistości Polski współczesnej. Chociaż o „gangach" – czytaj: przeciwnikach politycznych – słyszeliśmy nieraz (np. w grzeczniejszej formie o „kierowaniu grupą przestępczą"). Fałszywe analogie na dobre wessały się w język debaty politycznej, szczególnie często w odniesieniu do historii.

Ups, źle powiedziałem – nie do historii, lecz do wyobrażeń na jej temat. Wszystkie, nasilone w ostatnich dniach, stwierdzenia o „stanie wojennym" są, dla przykładu, zupełną bredni. Bo po prostu stan wojenny nie wyglądał w ten sposób, że jeden ważny budynek w stolicy był broniony przez oddziały prewencji, które nie miały nawet pałek. A protestujące przeciw „stanowi wojennemu" osoby wracały sobie spokojnie do domu, kiedy zmarzły.

Nie było w III RP nawet zamachu majowego. Notabene, ten zamach („rewolucja majowa", jak mówili jego zwolennicy) przebiegał przedziwnie, zaczynając się od demonstracji wojskowej, która miała spowodować nie bardzo wiadomo co, ale jakiś nieokreślony stan „szacunku dla marszałka Piłsudskiego". W gruncie rzeczy taki format marzy się najważniejszym liderom współczesnej Polski. A niechby sobie były prawo nasze, prawo europejskie, konstytucja i trele-morele z paragrafami. Jednak, gdyby akurat tak się składało, że to prawo nie służy władzy, to nasze trele-morele biorą górę nad paragrafami.

Wydarzają się nam w III RP, od czasu do czasu, nie „zamach stanu" i „wojna o demokrację", lecz brzydkie zagrania rządzących i uzasadnione skoki nasilonych emocji rządzonych.
Nie jest łatwa ta polska niepodległość.
Nie jest też jednak, mówiąc szczerze, szczególnie trudna. Co łatwo sprawdzić za pomocą najprostszego w świecie quizu. W której niepodległości chciałbyś żyć: tej z XVIII w.? Tej z XX-lecia? A może tej z lat 90.?

©℗



FOT. BRANDON BELL/GETTY IMAGES

USA / M**10**

MAGA ma swoją rebelię

W wyborach połówkowych Amerykanie odrzucili trumpistowski styl uprawiania polityki i oligarchizację. Zagłosowali przeciw kosztom, które ponoszą zwykli ludzie

pisze Emilia Świętochowska

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

eprasa.pl 07e1667bc0

Tupanie na cienkim lodzie



ILUSTRACJA. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (4), SHUTTERSTOCK (3)

Awantura wokół polskiego Trybunału Konstytucyjnego nie dzieje się w próżni, lecz wpisuje się w szerszy kontekst zagrożeń dla państw europejskich – a każda eskalacja, niestety, znacznie je zwiększa

Witold

Sokała

Warto mieć świadomość tego, że wojna na wschód od nas wchodzi w fazę krytyczną. Rosja już wie, że nie wygra na płaszczyźnie czysto militarnej, ale ma nadzieję, niestety niepozbawioną podstaw, że zdoła odnieść zwycięstwo dzięki kombinacji działań politycznych, propagandowych, wywiadowczych i dywersyjnych. Stawką jest zaś przywrócenie rosyjskiej hegemonii nie tylko na terenach dawnego Związku Radzieckiego, lecz także w środkowej i wschodniej Europie – przy jednoczesnym skompromitowaniu zachodnich instytucji integracyjnych, partnerstwa transatlantyckiego oraz poszczególnych rządów i przywódców mających chęć przeszkadzać ekipie Władimira Putina.

Lepiej już było

Jeszcze niedawno szanse Rosjan na taki scenariusz wydawały się nikłe, jednak ich determinacja, bezwzględność i zręczne wykorzystywanie prezentów od losu stopniowo dają efekty. Za taki prezent można uznać choćby prezydenturę Donalda Trumpa w USA, bo niezależnie od bardzo krytycznej oceny kunktatorskiej polityki poprzedniej administracji trzeba przyznać, że ta obecna robi znacznie więcej, by pomóc Putinowi. Owszem, wyniki wyborów połówkowych w USA można interpretować jako sygnał nadchodzącej zmiany w polityce Waszyngtonu, ale lepiej hamować entuzjazm. Po pierwsze, Trump i jego akolici, niezależnie od układu sił w Kongresie, wciąż zachowują narzędzia do kształtowania polityki zagranicznej i obronnej zgodnie ze swoją wolą. Wyraźny sygnał zbliżającego się końca ery Trumpa może paradoksalnie zwiększyć jego determinację do jak najszybszego dopięcia „wielkiego, wspaniałego dealu". Po drugie, nawet ostateczne przejęcie Białego Domu przez demokratów w dalszej przyszłości nie spowoduje zapewne całkowitej zmiany amerykańskich priorytetów strategicznych, najwyżej skoryguje sposób ich realizacji. Niechęć do dalszego odpowiadania za bezpieczeństwo Starego Kontynentu połączona z wyraźną ochotą, by podporządkować go własnym interesom biznesowym, jest bowiem dosyć naturalną odpowiedzią polityki amerykańskiej na wyzwania obecnych czasów.

Do kompletu problemów mamy także rosnącą presję Chin, na razie głównie handlową i technologiczną, ale naiwnie byłoby zakładać, że Pekin na tym poprzestanie. I jeszcze islamistów, którzy przecież nie przestali marzyć o stopniowym lub gwałtownym narzuceniu nam swoich koncepcji społecznych i religijnych, w tym dotyczących praw człowieka, co wymusza po drodze destrukcję starych porządków. A wreszcie – lekceważone latami endemiczne problemy społeczne i gospodarcze, nawarstwiające się skutki błędów i zaniedbań w przeróżnych sferach, od twardego bezpieczeństwa i energetyki po edukację, które dziś grożą coraz mocniejszymi wybuchami niezadowolenia. Tymczasem europejskie elity polityczne i ekonomiczne wciąż nie wydają się gotowe do niezbędnych zmian kursu.

Wyłączanie zdrowego rozsądku

W tej bardzo trudnej sytuacji państwo frontowe, jakim przecież jest Polska, powinno starać się o zachowanie pełnej kontroli nad swą sytuacją wewnętrzną oraz pilnie szukać nowych, elastycznych konfiguracji zwiększających bezpieczeństwo zewnętrzne. Pierwsze jest oczywiste, gdy mamy świadomość, że różni nasi przeciwnicy czy kontrpartnerzy – bo przecież nie tylko Rosja – właśnie poprzez działania asymetryczne mogą szkodzić nam najbardziej. Drugie staje się zaś pożądane, jeśli zrozumiemy różnicę potencjału własnego i wrogów, ale też coraz bardziej możliwe, gdyż w analogicznej sytuacji znajdują się równocześnie liczne państwa sąsiedzkie, z tymi nordyckimi na czele. ▷

eprasa.pl 07e1667bc0

Akurat z poszukiwaniem nowych formatów zewnętrznych radzimy sobie nienajgorzej, czego przykładem choćby zorganizowane parę dni temu w Krakowie spotkanie tzw. grupy Bergen. Niestety, z aspektem wewnętrznym jest za to fatalnie. Możemy ostatnio obserwować coraz bardziej wyniszczający konflikt pomiędzy głównymi ośrodkami władzy, rządem i prezydentem, prowadzący do ograniczenia pola manewru i sprawczości obydwu. Bezpośrednio wiąże się z nim polaryzacja społeczeństwa, której skutkiem jest m.in. to, że wielu ludzi zupełnie wyłącza krytyczne myślenie i zdolność oceny przekazu medialnego pod kątem jego wiarygodności, co czyni ich skrajnie podatnymi na manipulację, także tę inspirowaną z zewnątrz. Na dokładkę mamy ciągłe podkopywanie autorytetu kluczowych instytucji odpowiedzialnych za nasze bezpieczeństwo, a więc wojska, policji i służb specjalnych – bo po obu stronach barykady wzniesionej wokół Trybunału Konstytucyjnego możemy już obserwować próby ich wciągnięcia w rolę narzędzia w ów wewnętrzny konflikt.

W tej sytuacji nasi zewnętrzni wrogowie mogliby nie robić nic poza spokojnym czekaniem, aż sami do reszty zdemolujemy swój kraj. A potem przyjść na gotowe. Nawet nie w formie agresji zbrojnej (po co im związane z tym kłopoty?) czy innej formy jawnego narzucenia kontroli. Wystarczy z pozycji realnej siły, politycznej i finansowej, wymagać od poszczególnych miejscowych watażków doraźnej uległości, gdy zajdzie taka potrzeba. Tak Zachód przez dekady prowadził politykę i realizował swe interesy w Azji czy Afryce. Carska Rosja oraz ZSRR – niekiedy też. Teraz Polsce grozi to samo.

Sztuka huśtania łódką

Wrogowie są jednak na tyle niecierpliwi, że zamiast biernie czekać, pomagają huśtać łódką. Mechanizm można było niedawno zaobserwować we Francji, gdzie zamieszki były celowo podgrzewane z zewnątrz, m.in. za pomocą wrzucania w obieg informacyjny przekazu mobilizującego różne grupy społeczne i środowiska do bardziej radykalnych zachowań.

Cieszący się znacznym autorytetem w branży badaczy dezinformacji think-tank Alliance4Europe przeanalizował ruch na kilku głównych platformach społecznościowych, analizując ponad 0,5 mln wpisów w dziewięciu językach, co pozwoliło wyraźnie zidentyfikować ślady rosyjskiej operacji „Doppelganger". Nad Sekwaną, poza podkręcaniem emocji i namawianiem do eskalacji przemocy, była ona obliczona na bezpośrednie osłabianie wsparcia dla Ukrainy. Poza Francją zamieszki wykorzystano jako pretekst do szerszych narracji, głównie wskazujących na migrację jako główną przyczynę problemu (o ile tylko co 30. wpis w języku francuskim obwiniał migrantów lub islam, o tyle w języku angielskim prawie co piąty). Jak wskazuje specjalny raport A4E, rosyjska sieć „Prawda" opublikowała ponad 1 tys. artykułów na 28 portalach, w różnych językach, kopiując treści z jednego na drugi w ciągu kilku minut. Przekaz kierowano nie tylko do ludzi, lecz także do sztucznej inteligencji, która zaczęła powielać kłamstwa i manipulacje. W charakterze tzw. pudeł rezonansowych wystąpili liczni zwolennicy alternatywnej lewicy, a przede wszystkim ruchu MAGA. Nie tylko w USA, bo dołączyli np. kanadyjscy separatyści czy fani partii „antysystemowych" na Starym Kontynencie, chętnie udostępniając zdecydowanie przesadzone komunikaty o „upadku Europy".

We Francji ewidentnie wspierano zarówno ugrupowania z radykalnej lewicy, jak i prawicy. W innych państwach – każdego, kto działa na rzecz podkopania rządów wspierających Ukrainę i opowiadających się za w miarę konsekwentnym powstrzymywaniem Rosji. Ale często celem samym w sobie było właśnie zwiększanie poziomu emocji i polaryzacji, podkopywanie zaufania do państwa i jego instytucji. Casus francuski nie jest jedyny – A4E i inne podobne grupy badawcze przedstawiały podobne mechanizmy wielokrotnie, w odniesieniu do bardzo różnych sytuacji. Uważni czytelnicy rosyjskiej literatury fachowej nie są zdziwieni – rozbudowana teoria „wojny refleksyjnej" jest tam rozpisana na szczegóły i liczne wskazówki praktyczne.

Każdemu wedle potrzeb

Spróbujmy przełożyć te mechanizmy na polski grunt. Główny problem nie został stworzony przez Rosjan ani inny ośrodek zewnętrzny, lecz wykreowany samodzielnie przez nasze elity polityczne wykazujące przez długi czas złą wolę lub niekompetencję. Okazja czyni jednak złodzieja, więc liczne trollkonta spieszą teraz z radykalizującym przekazem adresowanym do fanów obu przeciwstawnych obozów.

Dla zwolenników Donalda Tuska są to np. komunikaty o współpracy prezydenta z rosyjskim wywiadem, który jakoby miał z wyprzedzeniem informować naszą głowę państwa o planach premiera. Do tego informacje o wyrazach poparcia dla „obozu patriotycznego" (czyli wrogiego wobec UE) od Dmitrija Miedwiediewa czy Aleksandra Dugina. Generalnie podrzuca się argumenty na rzecz tezy, że „prawica to Targowica". Realnie wzmacniają one spójność i determinację obozu prorządowego, ale wyłącznie w krótkiej perspektywie – w dłuższej bowiem zamykają go na współpracę już nie tylko z partiami opozycyjnymi, lecz nawet ze środowiskami merytorycznie krytycznymi wobec zbyt topornej propagandy.

Druga strona też dostaje swoją porcję – np. pogłoski o planowanym siłowym rozpędzeniu demonstrantów pod siedzibą TK przy użyciu broni sonicznej, o udziale niemieckich policjantów w ewentualnym tłumieniu patriotycznych demonstracji, o poparciu amerykańskich wojskowych przebywających w Polsce dla prezydenta Nawrockiego (to akurat był mem wykorzystujący wizerunek aktora filmów dla dorosłych, ale mimo swej dość oczywistej absurdalności i tak zrobił karierę w prawicowych bańkach) itp. Cel – zagrzanie ludzi do walki o imponderabilia, wgranie czy umocnienie przekonania o ostatecznym charakterze nadchodzącego starcia dobra ze złem, a więc także psychologiczne przygotowanie do konfrontacji fizycznej.

Akcja jest realizowana wielotorowo. Część działań opiera się na oficjalnych enuncjacjach rosyjskich polityków i tamtejszych mediów, które są następnie roznoszone w przestrzeni informacyjnej (nie tylko zresztą polskiej, bo równolegle odbywa się podważanie autorytetu naszych władz w oczach zachodniej opinii publicznej). Część ma formę nieco subtelniejszą – liczni agenci wpływu, zawczasu zainstalowani, gdzie trzeba, przepisują zadane im komunikaty na własnych kanałach. Centrala dba zaś nie tylko o treść, lecz także o zasięgi – farmy trolli podbijają, lajkują, komentują i kopiują wpisy, a władcy algorytmów sprzyjają im niekoniecznie przypadkowo.

Gdyby wróg zewnętrzny próbował w ten sposób mącić, a polscy politycy i ich spindoktorzy zachowywali wobec takich akcji stosowną rezerwę, nie byłoby może problemu. Niestety, spora część naszej klasy politycznej (oraz poszczególne fankluby) wpisuje się w zewnętrzne strategie radośnie i dobrowolnie, chyba nie doceniając konsekwencji. To poniekąd skutek wcześniejszych procesów z grubsza polegających na zafiksowaniu na zwalczaniu „onych" wszelkimi metodami, niekoniecznie fair.

Milcząca większość

Najbardziej martwi relatywizowanie rosyjskiego zagrożenia, bo gdy szasta się zarzutami agenturalności i dywersji na wyrost, oskarżenie się dewaluuje i w końcu nudzi publice. O prawdziwej agenturze już w końcu słuchać nie zechce, choć powinna. Analogicznie padające z prawej strony sugestie o zdradzie Tuska na rzecz Berlina i Brukseli bywają tak absurdalne, że z góry kompromitują wszelkie realistyczne analizy dotyczące naszej nadmiernej wasalności wobec partnerów z Zachodu, a problem przecież istnieje i warto byłoby się z nim zmierzyć.

Nieliczne racjonalne głosy z wnętrza głównych partii – namawiające do deeskalacji i dialogu, również w imię długofalowych interesów bezpieczeństwa państwa – są na razie źle przyjmowane zarówno przez liderów, jak i przez żelazne elektoraty. Ze środowisk biznesowych i eksperckich płyną apele o rozwiązanie konfliktu (jedną z ciekawszych zgłosił ostatnio Jarosław Królewski, znany inwestor z branży technologicznej i filantrop), ale spotykają się z oskarżeniem o „symetryzm" lub naiwność. Doraźnie wielu politykom opłaca się bowiem dalsze grzanie problemu, a przynajmniej tak im się wydaje. Długofalowo zaś – chyba mało który z partyjnych wodzów i nominatów rzeczywiście chciałby prawdziwej reformy sądownictwa konstytucyjnego i „oddania go obywatelom". Wygodniej mieć sąd po swojej stronie, obsadzony wiernymi ludźmi.

Ostatnia nadzieja w „milczącej większości", która nie uczestniczy w internetowych naparzankach ani nie marzy o (niestety, coraz bardziej prawdopodobnym) „kryterium ulicznym" 11 listopada, na którym w razie rozlewu krwi najwięcej zyskają Rosjanie. W niedawnym sondażu United Surveys by IBRiS (dla Wirtualnej Polski), bardzo porządnym metodologicznie, przyznanie racji Tuskowi lub Nawrockiemu rozkłada się niemal równo, nieco powyżej ćwiartki, a zdecydowanie największa grupa – niemal 40 proc. – świadomie nie staje po żadnej stronie. Wśród respondentów w wieku 30–39 lat jest to aż 72 proc., w grupie 18–29 lat – 64 proc. Odpowiedź „żadna ze stron nie ma racji" wybrało 51 proc. osób z wyższym wykształceniem oraz 47 proc. tych, którzy wiedzę o polityce czerpią chętniej z portali internetowych niż z zazwyczaj bardziej „jednokierunkowych" mediów tradycyjnych.

Pozostający w coraz bardziej śmiertelnym zwarciu liderzy polityczni mogą z takich danych wyciągnąć różne wnioski. Pojąć, że wszyscy razem maszerujemy po bardzo cienkim lodzie, a niektórzy tupią stanowczo za mocno, trochę odpuścić, a może nawet załatwić wreszcie sprawę trybunału (i przy okazji kilka innych) na zasadzie kompromisu. Albo przeciwnie, podkręcić propagandowe tuby jeszcze mocniej, by opornych symetrystów zmusić w końcu do wybrania strony. Może lód jednak wytrzyma? Jeśli nie, to kierownictwo wycieczki ma przecież szalupy, a przynajmniej kapoki.

Można podejrzewać, że specjaliści od walki informacyjnej w rosyjskim Jasieniewie trzymają kciuki za ten drugi wariant. Oby się zawiedli. ©℗



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold

Sokała

wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący rady i analityk Fundacji Po.Int, publicysta DGP

eprasa.pl 07e1667bc0


FOT. WOJTEK GÓRSKI

Chciałbym się mylić, ale szacunek do TK nie rośnie

Marcin Wiącek

Zmiany w Trybunale Konstytucyjnym, jakie zachodzą od 30 października, podzieliły nie tylko społeczeństwo, lecz także prawników. Warto uporządkować kilka kwestii.

Zacznijmy od diagnozy. Autorytet TK upadł. Mam na myśli autorytet społeczny i prawny. Niezależnie od niemającego podstaw prawnych zaniechania publikacji wyroków TK orzecznictwo tego organu w zasadzie przestało mieć znaczenie – zarówno dla praktyki stosowania prawa, jak i dla świata nauki. Sądy sporadycznie sięgają do najnowszego orzecznictwa, i to raczej na marginesie wywodu, a dla doktryny prawa niektóre poglądy TK są absolutnie nie do zaakceptowania. Konsekwencje tej sytuacji ponoszą zwykli ludzie. Prawnicy zniechęcają obywateli do wnoszenia skarg konstytucyjnych, a instytucje mające prawo do składania wniosków (np. organizacje pracodawców, związki zawodowe) korzystają z niego niezwykle rzadko.

Dobrze, że sądy stanęły na wysokości zadania, odważnie korzystają z konstytucji w drodze kontroli rozproszonej i nie wahają się odmawiać stosowania niekonstytucyjnych ustaw. Ta odwaga to chyba jedyny pozytywny rezultat kryzysu wokół TK, choć entuzjazm ten ma gorzki rodowód.

Nie ulega wątpliwości, że autorytet TK należy odbudować. Odbudowa ta powinna polegać na tym, że trybunał odzyska szacunek w społeczeństwie i będzie działał bez zastrzeżeń co do mandatu sędziów. Byłoby katastrofą, gdyby doszło do tego, że tak jak przez ostatnie 10 lat połowa Polaków nie uznawała TK, tak teraz nie będzie go uznawała druga połowa. Niestety na to się zanosi.

Co należy zrobić, żeby tego uniknąć? Proces przywracania właściwej pozycji TK powinien się odbywać na jasnych i niebudzących zastrzeżeń podstawach prawnych. W czasach, gdy każdy uważa, że zna się na prawie konstytucyjnym, należy korzystać z jednoznacznych konstrukcji prawnych, a nie tworzyć nowatorskie koncepcje odwołujące się do dyskusyjnych wartości pozaprawnych (np. stanu wyższej konieczności konstytucyjnej), opierające się na domniemywaniu kompetencji czy analogii. Takie stosowanie prawa eskaluje spory społeczne i rodzi ryzyko nadużycia podobnej argumentacji w przyszłości, tyle że przy złej woli.

Dlatego wielu prawników, w tym ja, zadaje sobie pytanie, dlaczego 30 października – zamiast zastosowania konstrukcji niezwykle kontrowersyjnej i opartej na ekwilibrystyce prawniczej, której celem było odsunięcie od urzędowania prezesa i wiceprezesa TK – nie zdecydowano się na osiągnięcie takiego samego efektu przy użyciu środków, które nie budziłyby tylu wątpliwości.

Jeśli rzeczywiście w TK dochodziło do manipulowania składami orzekającymi po to, aby osiągnąć efekt oczekiwany przez polityków, to jest to rażący przykład naruszenia godności urzędu, a także czyn kryminalny. Wyjaśnienie tych zarzutów jest możliwe w znanych prawu postępowaniach – dyscyplinarnym i karnym. Przepisy ustaw o TK – odczytywane tam, gdzie można i trzeba, w związku z ustawą o SN i ustawą – Prawo o ustroju sądów powszechnych (np. art. 129) – jasno mówią, że każdego sędziego (w tym prezesa i wiceprezesa) można pociągnąć do odpowiedzialności i – co istotne – na ten czas zawiesić go w urzędowaniu. Przypomnijmy w tym miejscu jeden z najważniejszych standardów państwa prawa – nawet czasowe odsunięcie sędziego od orzekania może mieć miejsce tylko na podstawie orzeczenia sądowego (art. 180 ust. 2 konstytucji).

Standard ten naruszono. 30 października został zastosowany art. 130 p.u.s.p. Przepis ten daje ministrowi sprawiedliwości prawo do natychmiastowego zawieszenia sędziego na miesiąc. Jest to skutek sprzeczny z art. 180 ust. 2 konstytucji, dochodzi bowiem do zawieszenia sędziego bez decyzji sądu. Zdaję sobie sprawę, że art. 130 był kiedyś uznany za zgodny z konstytucją. Po pierwsze jednak, wyrok TK o sygn. K 45/07 został wydany w 2009 r., w czasie, gdy ani razu nie doszło jeszcze do zastosowania art. 130, a więc zanim miały miejsce bulwersujące przypadki zawieszania sędziów, którzy w czasach sporu o praworządność stosowali bezpośrednio konstytucję i prawo europejskie. Po drugie, TK podkreślił, że przyznanie tego uprawnienia ministrowi sprawiedliwości jest związane z jego zadaniem polegającym na nadzorze administracyjnym nad działalnością sądownictwa powszechnego.

I tu dochodzimy do sedna problemu. „Odpowiednie" zastosowanie art. 130 par. 2 wobec prezesa TK wymaga odnalezienia osoby czy instytucji, która wobec tegoż prezesa pełni funkcję taką, jak minister sprawiedliwości wobec prezesa sądu powszechnego. Tylko wtedy, według znanych mi zasad wykładni prawa, wartości stojące za tym przepisem mogłyby uzasadnić jego odpowiednie zastosowanie do prezesa TK. Takiej osoby czy instytucji nie ma. Nie istnieje w systemie prawa nadzór administracyjny nad działalnością TK – nie wykonuje go ani prezes, ani wiceprezes, ani sędzia TK o najdłuższym łącznym stażu w sądownictwie. Dlatego też zawieszenie prezesa w czynnościach służbowych było możliwe tylko w postępowaniu dyscyplinarnym – na podstawie art. 129 p.u.s.p. – przez sąd dyscyplinarny, gdyż nie ma osoby lub instytucji, której można by przypisać kompetencję ministra sprawiedliwości wyrażoną w art. 130 par. 2. Przyznanie takiej kompetencji sędziemu TK o najdłuższym stażu nie jest wykładnią prawa, lecz jego tworzeniem. Wykreowano jednak nie tylko normę, ale również precedens, który może być kiedyś bez skrupułów wykorzystany nie w celu odbudowy, lecz zdewastowania wartości państwa demokratycznego.

Stało się. Pytanie, co dalej? I tu mamy kolejne podnoszone przez prawników zastrzeżenia dotyczące umocowania ośmioosobowego Zgromadzenia Ogólnego Sędziów TK do podejmowania uchwał. Pojawia się pogląd, że skoro zgromadzenie obraduje bez prezesa i w okrojonym składzie, przy wątpliwym kworum, to posiedzenia tego gremium należy traktować jako spotkania sędziów, którzy uchwalają nic nieznaczące akty. Tak nie jest. 3 listopada w trybunale nie zebrało się osiem przypadkowych osób, lecz ośmioro sędziów TK. Podkreślam – każda z tych osób jest sędzią TK w rozumieniu art. 194 ust. 1 konstytucji. Nie można więc przejść do porządku dziennego nad tym, że te osiem osób, mających mandat konstytucyjny, zgodnie uchwaliło, iż 3 listopada złożone z nich gremium jest Zgromadzeniem Ogólnym Sędziów TK zdolnym do podejmowania uchwał.

Czy taka decyzja jest bezdyskusyjna? Nie jest. Ale niezależnie od tego mamy tu do czynienia z aktem podjętym przez sędziów TK, a więc osoby podlegające wyłącznie Konstytucji RP (art. 195 ust. 1) i tym samym mające silny mandat do oparcia swojego działania na takiej, a nie innej interpretacji konstytucji oraz ustaw o TK – nawet jeśli się z tą interpretacją nie zgadzamy. Dlatego w odniesieniu do aktów uchwalonych 3 listopada należy przyjąć domniemanie, że są to uchwały organu władzy publicznej, tj. Zgromadzenia Ogólnego Sędziów TK.

Na marginesie dodajmy, że nawet gdy rada gminy jest zwołana przez osobę nieuprawnioną lub obraduje bez kworum, to uchwały takiej rady są objęte domniemaniem legalności, wywołują przewidziane w nich skutki. Można te skutki obalić i stwierdzić nieważność uchwał w odpowiednim trybie (przed wojewodą lub sądem), ale nie jest tak, że każdy mieszkaniec gminy może nie uznawać uchwały, zanim wypowie się na jej temat organ uprawniony do kontroli.

Na takich samych zasadach uchwały podjęte 3 listopada 2026 r. są objęte domniemaniem legalności. Jest to domniemanie wzruszalne. Nie bezpośrednio, gdyż uchwały zgromadzenia nie można wprost nigdzie zaskarżyć, ale pośrednio. Nie da się wykluczyć, że kiedyś jakiś skład sędziowski w sprawie, w której pojawi się potrzeba oceny skutków uchwał zgromadzenia ogólnego (np. jeśli doszłoby do uchylenia immunitetu sędziego TK), oceni sprawę inaczej i zakwestionuje kompetencję ósemki sędziów do podejmowania uchwał. Wtedy wrócimy do dyskusji o wydarzeniach z 30 października. Upływający czas pokaże, czy rzeczywiście zastosowana wówczas koncepcja przysłużyła się odbudowie autorytetu TK w społeczeństwie. Mam co do tego wątpliwości, mimo że chciałbym się mylić. ©℗

> W czasach, gdy każdy uważa, że zna się na prawie konstytucyjnym, należy korzystać z jednoznacznych konstrukcji prawnych, a nie tworzyć nowatorskie koncepcje odwołujące się do dyskusyjnych wartości pozaprawnych

Autor jest prawnikiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, specjalistą w zakresie prawa konstytucyjnego i praw człowieka. W latach 2021–2026 rzecznik praw obywatelskich. Kierownik Zakładu Praw Człowieka na WPiA UW

eprasa.pl 07e1667bc0

Więcej niż zbrodnia. Błąd

Koalicja do zeszłego piątku mogła uchodzić za obrońców praworządności. Dziś to niemożliwe, bo ludzie nie zajmują się aż tak szczegółowo skomplikowaną sytuacją w TK, ale widzą oddziały policji w pełnym rynsztunku

Z Marcinem

Matczakiem

rozmawia Marcin Fijołek (Polsat)

Minister Waldemar Żurek nazwał pana Jednoosobowym Trybunałem Konstytucyjnym, więc chyba dobrze trafiłem z rozmową w środku tego kryzysu.

Złośliwości ministra Żurka – którego lubię i traktuję jako kogoś, z kim mogę dzielić „kombatanctwo" walki o praworządność za czasów PiS – to skutek tego, że został politykiem i zmienił perspektywę. A ja zostałem w tym samym miejscu i po prostu uważam, że moim obowiązkiem jest przestrzegać przed łamaniem prawa, bo moją jedyną lojalnością jest właśnie lojalność wobec prawa. Nie chcę być arbitrem, ale w momentach, w których politycy tak mocno różnią się w opiniach, rola prawnika jest jedna: z punktu widzenia czystego prawa ocenić sytuację, niezależnie od tego, kto i jak odbierze te oceny.

To kto ma rację w tej całej awanturze?

Na początek odwróćmy pytanie: kto jest winny sytuacji, w której jesteśmy? I tu trzeba powiedzieć przede wszystkim o Prawie i Sprawiedliwości oraz prezydentach Andrzeju Dudzie i Karolu Nawrockim. Widać to nawet na poziomie samych liczb – ilu nielegalnie powołanych sędziów i na jak długo wprowadziła do Trybunału Konstytucyjnego KO, a ilu PiS? KO – zero na zero dni. PiS – trzech na dziewięć lat. Podobnie na niekorzyść PiS wypada pytanie, ilu legalnie wybranych przez Sejm sędziów nie trafiło do TK z powodów politycznych.

Nie chcę wracać do prehistorii, ale to koalicja PO–PSL zaczęła te zmagania wyborami na zapas.

Tak, ale tamten błąd i winę skorygował sam TK. Ale zostawiając historię i winę, a wracając do rzeczywistości tu i teraz, jeżeli ktoś może rozwiązać problem, to klucze do tego ma prezydent Karol Nawrocki, który może uznać ósemkę sędziów wybranych przez Sejm tej kadencji. Trybunał nie będzie żadnym partyjnym gremium, przed czym prezydent przestrzegał niedawno, pisząc list w tej sprawie, bo będzie zbalansowany: siedem osób wybranych przez poprzedni Sejm, osiem przez obecny.

W ciągu najbliższych dni prezydent i premier mają się spotkać w cztery oczy. Co możemy im podpowiedzieć, żeby z tego prawno-politycznego Wietnamu jakoś wyjść? Skreśliłem na kolanie scenariusz: prezydent wycofuje wniosek do TK w sprawie sporu kompetencyjnego i zaprasza na ślubowanie czwórkę, którą wybrał Sejm, Maciej Berek honorowo rezygnuje, a w to miejsce i kolejne (bo w styczniu wybory) wybieramy sędziów większością trzech piątych.

Brzmi bardzo dobrze, wymaga ustępstw po obu stronach, obie pozostałyby niezadowolone, a przy tym pozostajemy przy elementarnym poszanowaniu zasad konstytucji. Dorzuciłbym jeszcze odejście z TK sędziów Święczkowskiego i Piotrowicza, żeby raz na zawsze skończyć z przekonaniem, że można czynnych, zaangażowanych do szpiku kości polityków instalować w TK. I oczywiście w ich miejsce możemy wybierać większością trzech piątych, najlepiej po przyjętej tak ustawie, żeby jednego polityka nie zastąpił inny, tylko z inną legitymacją partyjną w portfelu. Jest pan kibicem?

Tak. Co drugi tydzień wieczór spędzam na Łazienkowskiej.

Wyobraża pan sobie, że sędziego na klasyk polskiej ligi Legia–Lech miałby wybrać sztab jednej z drużyn? Albo żeby sędziowie takiego meczu przesiadywali w przeszłości na Żylecie albo w jej odpowiedniku – Kotle w Poznaniu? Przecież nie trzeba się znać na piłce, żeby odruchowo uznać, że coś tu jest głęboko nie tak. I taka jest właśnie rola TK – ma być bezstronnym arbitrem. I podobnie jak w piłce, im mniej wiemy o sędzi, im mniej rzuca się w oczy w trakcie meczu, tym lepiej.

Ale w piłce też czasem narzekamy na sędziego.

Bo jak każdy popełnia błędy, czasem może nawet wypaczyć wynik, ale zasadniczo uznajemy jego rozstrzygnięcia. Pociągnijmy to porównanie: wyobraża pan sobie, że trener Legii każe schodzić piłkarzom z boiska, bo sędzia nie gwizdnął rzutu karnego? Albo że piłkarze Lecha ogłaszają się zwycięzcami, bo co prawda na boisku było 1 : 1, ale w ostatniej akcji strzelili gola, tylko sędzia odgwizdał spalonego? Przecież każdy na stadionie i przed telewizorem popukałby się w czoło. A z Trybunałem Konstytucyjnym jakoś uznajemy to za normę. Nie, to patologia.

Prezydent ma swoje racje, wytykając np. brak odpowiedniego stażu Maciejowi Berkowi.

To, co mówi prezydent, jest absurdalne. Zacznijmy od tego, że nie wiadomo, dlaczego od dwójki sędziów TK wybranych przez obecny Sejm przyjął ślubowanie, a od czwórki nie. Nikt nie wskazał choćby cienia przepisu czy interpretacji prawnej, niechby nawet naciąganej, dlaczego dokonał takiej selekcji. A co do wątpliwości wokół Macieja Berka, przyjęcie, że prezydent ma prawo kontrolować wybór Sejmu, jest po prostu niezgodne z konstytucją i orzecznictwem TK. W sentencji wyroku z 2015 r. stoi wprost, że prezydent ma przyjąć niezwłocznie takie ślubowanie, koniec, kropka. Sędziowie TK – to z kolei art. 195 konstytucji – w zakresie sprawowania urzędu podlegają tylko jej, a nie ustawom. A ślubowanie jest w ustawie.

Ale jednak po coś w tej ustawie jest. Jako ceremonia, zobowiązanie osobiste sędziego. Równie dobrze moglibyśmy tam wpisać przysięgę na godło, flagę albo Mazurka Dąbrowskiego. Prezydent, wyprowadzając ze swojej biernej roli przyjęcia takiego ślubowania przekonanie, że ma czynne kompetencje do kontroli wyboru Sejmu, jest w absurdzie prawnym. Czy skoro w ustawie mamy wpisane, że sędzia TK musi spełnić warunek nieprzeciętnej wiedzy prawniczej, prezydent ma prawo robić mu test z konstytucji? Jeśli oczekujemy, że stan zdrowia i tężyzna fizyczna sędziego TK musi być na jakimś elementarnym poziomie, to prezydent zarządzi mu bieg przez płotki na czas?

Mogę to odwrócić: jeżeli Sejm – nie daj Boże – wybierze mnie na sędziego TK, to prezydent ma przyjąć ode mnie ślubowanie, choć nie jestem prawnikiem, ale dziennikarzem?

Znam ten argument „a co gdyby Sejm wybrał konia?". W takiej sytuacji mamy możliwość korekty. Przykład dał nam PiS – gdy Sejm wybrał w 2015 r. sędziów na zapas, to późniejszy parlament przyjął uchwałami, że doszło do pomyłki. I jeżeli prezydent uważa, że Sejm wybrał „konia", to niech zaapeluje do Sejmu o korektę, ale on sam nie ma prawa tego robić.

A mimo tej krytyki nie zostawił pan suchej nitki na obecnie rządzących za operację sprzed tygodnia.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gadamy, zanim zrobimy? Nowa taktyka Tuska

Daria **Al Shehabi**

Wydarzenia sprzed tygodnia można było relacjonować niemal jak działania wojenne. Kto zajął budynek TK, kto próbował go odbić, kto kontroluje wejścia, komu udało się dostać do środka, a kto został za drzwiami. Była policja, były posiłki, był nawet prezydent, który niczym Tom Cruise zawrócił samolot, by własną piersią bronić trybunału. W tej potyczce stracił guzik, a zyskał bardzo wiele.

Przy wejściu doszło do przepychanki. Według sędzi Anny Korwin-Piotrowskiej Karol Nawrocki napierał na próbujących go zatrzymać niczym taran. Pałac przedstawia inną wersję: to prezydent miał paść ofiarą naruszenia nietykalności cielesnej.

Każdy na swojej pozycji

Dla swoich zwolenników Karol Nawrocki był strażnikiem konstytucji, który osobiście stanął w obronie trybunału. Dla przeciwników – politykiem, który, ingerując w konflikt wewnątrz TK, sam naruszył zasadę trójpodziału władz. Co właściwie osiągnął? Nie odwrócił piątkowych decyzji, ale dostarczył swojemu elektoratowi obrazów gniewu, stanowczości i nieustępliwości. Wygrał w internecie, choć nie odzyskał kontroli nad trybunałem. W piątek wystarczyły emocje.

Donald Tusk w sobotnim orędziu przeciwstawił prawo politycznej sile. „Państwo prawa tym różni się od prawa dżungli, że o racji nie decydują mięśnie i chamstwo. W państwie prawa sędzia, choćby była to filigranowa kobieta, nie ustępuje przed agresywnym osiłkiem" – mówił. Premier nieprzypadkowo sięgnął po tę metaforę. Od kampanii prezydenckiej KO próbuje przedstawiać Nawrockiego wyłącznie jako kibola od ustawek, bohatera oskarżeń związanych z Grand Hotelem, a teraz także osiłka, który zamiast argumentów używa siły. We wtorek prezydent dostał jednak okazję, żeby wymknąć się temu schematowi. I skorzystał z niej, nie rezygnując z konfrontacji.

Początek Rady Bezpieczeństwa Narodowego wyglądał jak roast premiera. Prezydent z uśmiechem wyliczał premierowi zarzuty, przywoływał opinie praw-

eprasa.pl 07e1667bc0

Tak, bo uważam za całkowicie logiczne i uczciwe, że można krytykować tych, którzy coś popsuli, a następnie bić na alarm w sprawie sposobu naprawy tego, co jest zepsute. Uważam, że to szeroko rozumiany PiS popsuł TK, ale równocześnie, że można to było naprawiać inaczej. Żyjemy w kulturze obrazkowej, co z tego wszystkiego zrozumieją czytelnicy „The Economist", „Guardiana" czy widzowie BBC, gdy zobaczą policję przed polskim sądem konstytucyjnym? To wygląda jednoznacznie – jak gdyby policja atakowała TK. Można było tego uniknąć.

> Jak? Wie pan, co słyszę od polityków i komentatorów przychylnych rządowi, gdy pana cytuję? Że Matczak, owszem, jest elokwentny, błyskotliwy, ale nie podaje rozwiązania, jak z tej matni wyjść.

Niech każdy zrobi własny rachunek sumienia. Swoje mam czyste, bo w 2019 r. napisaliśmy 240 stron, jak naprawić TK – wszystko wciąż dostępne na stronach internetowych Fundacji Batorego. Napisaliśmy do tego dwie ustawy, które uchwaliła aktualna koalicja (prezydent Duda odesłał je do TK), więc trochę sobie wypraszam tego rodzaju uwagi. Mówiliśmy w 2019 r. „usuńcie dublerów". Woleli wadliwy TK, żeby go nie uznawać. Mówiliśmy „wybierajcie sędziów zgodnie z terminem". Woleli zwlekać, sztucznie wydłużając ich kadencję, bo czekali na większość w trybunale, co zresztą prezydent Nawrocki wykorzystał jako pretekst do swoich ruchów. Gdyby powoływali sędziów regularnie, jednego po drugim, to mieliby dziś większość, ale tak, musieliby wcześniej uznać TK. Woleli czekać na wygraną Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich. Efekty widzimy.

> Tylko to znów kostki domina z przeszłości. A dziś? Wracam do pytania: jeśli nie operacja z piątku, to jak inaczej?

Kostki domina z przeszłości są o tyle istotne, że determinują to, co się dzieje dziś. To, co się wydarzyło w zeszły piątek, było właśnie końcem tego procesu, a nie początkiem. Uważam, że można było pójść w scenariusz rozmów z sędziami wybranymi przez PiS, żeby oni wsparli tę nową ósemkę, żeby, jeśli już zawieszać Święczkowskiego, to w sposób całkowicie prawny, bez policji.

> Już to widzę, jak sędzia Stanisław Piotrowicz współpracuje z nową ósemką.

On zapewne nie, ale są inne osoby w TK, które pokazywały, że im nie po drodze ze Święczkowskim, składały zdania odrębne. Sędzia Sochański po całej akcji w piątek mówił nawet, że miał wątpliwości wobec Święczkowskiego, ale po tym piątku już nie ma. Teraz jest za późno, wie, że sprawy poszły za daleko, a przyłączenie się do tej ósemki zostanie uznane przez jego otoczenie za wzięcie udziału w puczu, buncie czy zamachu stanu.

> A pan jak nazwie to, do czego doszło?

To więcej niż zbrodnia – to błąd. Ogromny błąd polityczny obecnej koalicji, która do piątku mogła uchodzić za obrońców praworządności. Dziś to niemożliwe, bo ludzie nie zajmują się aż tak szczegółowo skomplikowaną sytuacją w TK, ale widzą oddziały policji w pełnym rynsztunku. To coś, co nie zostanie wymazane z pamięci – użyto siły, nawet najlepsze argumentacje prawne nie zmienią tego obrazka. Zarazem nie działa to w ten sposób, że to, co się wydarzyło tydzień temu, powoduje, iż wcześniejsze działania PiS są legalne, bo w świetle tego, co zrobiła obecna koalicja, zostały w magiczny sposób uświęcone.

> Ósemka sędziów usiadła we wtorek, uznała, że jest kworum i że można ruszyć ze Zgromadzeniem Ogólnym Sędziów TK. Może pańskie czy moje wątpliwości są wtórne wobec faktów?

Operacja z wyciągnięciem art. 130 ustawy o ustroju sądów powszechnych, a potem żonglerka liczbowa z kworum to dalszy ciąg jazdy z „wyższym stanem konieczności konstytucyjnej". A to działania w oczywisty sposób sprzeczne z logiką prawną, a przy tym otwierające puszkę Pandory na przyszłość, bo kreujące ryzyko, że w przyszłości już nie osiem osób, ale np. dwie uznają, że mają kworum, bo zawieszą resztę z takich czy innych powodów. Albo jedna. Musimy myśleć o konsekwencjach w przyszłości, bo furtka uchylona przez jednych zostanie otwarta na oścież – albo wyrwana z zawiasów – przez drugich. Gdyby to jeszcze coś dało... Czy patrząc na sceny z wtorkowego spotkania sędziów, ludzie mają dziś przekonanie, że to w pełni niezależny i profesjonalny TK? Śmiem wątpić. ©℗



FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/ REPORTER

Marcin

Matczak

profesor nauk prawnych, wykładowca Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalista prawa publicznego, interpretacji prawniczej i sądowego stosowania prawa

Nagła zmiana

I wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Jeszcze przed RBN Donald Tusk przekonywał, że w sprawie TK „nie ma żadnych dwuznaczności i szarości". W sobotnim orędziu opowiadał o złodzieju, który wyrywa starszej pani torebkę, po czym oskarża próbujących go zatrzymać o przemoc. Symetryści, jak tłumaczył, proponują podzielić łup między złodzieja a ofiarę. „W pewnych sprawach nie może być kompromisu" – przekonywał. Tymczasem po ponad czterech godzinach rady premier oznajmił, że zaproponował prezydentowi spotkanie w cztery oczy. „Tu nie chodzi o to, żeby ktoś zatriumfował, ktoś kogoś upokarzał. [...] Pewnie zostaniemy przy swoich opiniach [...], ale odczuwamy obaj taką wspólną odpowiedzialność, prezydent i ja, żeby w sytuacji tego narastającego zagrożenia ze Wschodu [...] szukać tam, gdzie to jest tylko możliwe, porozumienia" – mówił. W sobotę Donald Tusk tłumaczył Polakom, dlaczego ze złodziejem nie dzieli się zawartością skradzionej torebki. We wtorek zaproponował rozmowę człowiekowi, którego działania przedstawiał jako część tego samego bezprawia. Nie oznacza to, że postanowił oddać połowę łupu. Prezydent próbował pokonać premiera jego własną bronią. Premier postanowił sprawdzić, czy można wygrać, odkładając ją na bok.

Walka o nieprzekonanych

To zmiana przekonań czy chłodna kalkulacja? Ta druga możliwość wydaje się całkiem prawdopodobna, co niekoniecznie jest zarzutem. W sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski z 2 listopada aż 38,6 proc. badanych nie przyznało racji żadnej ze stron konfliktu o TK. Wśród niezdecydowanych i niedeklarujących udziału w wyborach było to 59 proc. Nie oznacza to, że wszyscy oczekują kompromisu. Pokazuje jednak, jak wielu nie przekonuje żadna z konkurencyjnych opowieści o ratowaniu konstytucji.

Donald Tusk i Karol Nawrocki stworzyli osobliwy polityczny układ, w którym obaj bardzo potrzebują przeciwnika. Prezydent może przedstawiać premiera jako zagrożenie dla porządku konstytucyjnego, a premier przypominać wyborcom, dlaczego odsunięcie PiS od władzy było tak ważne. Im mocniej jeden atakuje, tym więcej argumentów dostarcza drugiemu. Nie jest to jednak układ równych szans. Karol Nawrocki może demonstrować sprawczość, blokując działania rządu. Każde weto i każda konfrontacja pozwalają mu przekonywać własny elektorat, że skutecznie powstrzymuje przeciwnika. Donald Tusk tego luksusu nie ma. Prezydent zdobywa polityczne punkty za to, że do czegoś nie dopuścił. Premier musi jeszcze pokazać, co udało mu się zrobić.

Wygrywanie kolejnych pojedynków z Karolem Nawrockim może cieszyć twardy elektorat KO. Tyle że Donald Tusk naprawdę wygra dopiero wtedy, gdy ponownie wygra wybory. A do tego potrzebuje również ludzi, którzy w 2023 r. stali godzinami w kolejkach do lokali wyborczych, wierząc, że zmiana władzy przyniesie naprawę państwa. Dziś część z nich zapowiada, że do urn już nie pójdzie. Nie przekona ich kolejne celne uderzenie w prezydenta. Muszą zobaczyć, że rząd potrafi zrealizować przynajmniej część tego, co obiecał.

Teraz jednak premier odłożył pałkę. Propozycją spotkania osłabił argument tych, którzy zarzucają mu niechęć do rozmowy. Pałac zadeklarował gotowość do spotkania. To dopiero gest, ale być może znaczący.

Może Donald Tusk w końcu zrozumiał, że „Robimy, nie gadamy" nie jest dobrym hasłem w demokracji, zwłaszcza gdy do zrobienia czegokolwiek potrzebna jest zgoda człowieka, z którym nie chce się rozmawiać. Być może premier postanowił więc najpierw pogadać, a dopiero później robić. Pozostaje pytanie, co właściwie miałoby zostać zrobione. Dziś nawet prawnicy, którzy przez lata sprzeciwiali się działaniom PiS, nie są zgodni co do sposobu naprawy TK.

Można rozumieć determinację rządu, nie uznając każdej jego decyzji za zgodną z prawem. Bo nawet jeśli uda się odzyskać budynek i wznowić orzekanie, pozostaje problem znacznie trudniejszy: jak odbudować Trybunał Konstytucyjny, którego rozstrzygnięć następna większość nie zakwestionuje przy pierwszej okazji?

A jest jeszcze jeden powód, dla którego nie możemy pozwolić sobie na niekończącą się konfrontację. Karol Nawrocki niedawno zarzucał politykom straszenie Polaków wojną dla sondażowych korzyści, ale podczas RBN sam przyznał, że bezpieczeństwo wewnętrzne i zewnętrzne są nierozłączne. W sprawach obecności wojsk amerykańskich i strategii bezpieczeństwa oba ośrodki władzy znalazły zresztą przestrzeń do współpracy.

Donald Tusk i Karol Nawrocki nie mogą w nieskończoność okładać się pałkami po głowach. Zwłaszcza że za polską granicą jest ktoś, kto z uwagą obserwuje każde kolejne osłabienie państwa. Moskiewski wilk nie musi się spieszyć. Może spokojnie poczekać, aż obaj się zmęczą. ©℗

eprasa.pl 07e1667bc0



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Tusk i TK, Robespierre i „bagno”

Jan Wróbel

Charakterystyczną cechą akcji antypisowskich w latach rządów PiS była zadziwiająca nadmiarowość stosowanego języka opisu. Nie wystarczało, że system sądownictwa poszedł w rozsypkę, że Trybunał Konstytucyjny został poddany kontroli Kaczyńskiego, że telewizją publiczną zawładnął duch propagandy gen. Jaruzelskiego. Trzeba jeszcze było ogłosić „dyktaturę, jak na Białorusi” i zapowiedzieć, że Kaczyński „na pewno sfałszuje wybory”. I tak dalej. Nawet 800+ (500+) miało „zupełnie” zrujnować gospodarkę i doprowadzić do rozpicia niższych klas społecznych.

Pytania o jakość rządów PiS były zasadne, krytyka wielu poczynań władz również. Obraz pod tytułem „Polska to już Białoruś w drodze do III Rzeszy” stanowił zaś tylko projekcję nawiedzonych. Ta nadmiarowość stosowanego języka miała – i ma – spore znaczenie dla rozwoju wydarzeń.

Przede wszystkim dawała pretekst zwolennikom PiS, aby trzymać się sztandaru. Trudno krytykować własny obóz za np. pozbawioną wielkiego sensu ofensywę na Krajową Radę Sądownictwa, skoro tuż za drzwiami czekają zarzuty o zbrodnie przeciwko narodowi i słyszy się zapowiedzi, że „będziecie siedzieć”. Stało się oczywiste, że albo popierasz PiS wraz z jego błędami, albo ułatwiasz „demokratom” realizację ich wizji.

Naturalnym skutkiem walk „o wszystko” stało się także przekonanie „demokratów”, że w politycznym starciu z sądami racje moralne są rozdzielone zero-jedynkowo. To znaczy, jedni mają jej zero, a drudzy mają ją całą. Wartości niejako z urzędu bliskie polskiej inteligencji, a już szczególnie środowisku akademickiemu – szukanie prawdy, zwracanie uwagi na detale, namysł przed wypowiedzeniem wniosków – schowane zostały do szafy. Teraz powściągliwość to ciamciaramcia.

W ostatnich dniach obserwujemy pozaprawne działania obozu władzy. W ich rezultacie pseudoprezes trybunału szefuje grupie trzymającej władzę w budynku trybunału dzięki policyjnym oddziałom prewencji. Ze szlachetnej wizji, w której moralnie słuszni walczą z niemoralnymi, nic nie zostało.

Dodać wypada, że przekonanie o swojej moralnej dominacji nad „tuskowcami” jest ogromnie popularne wśród obrońców obecnego prezesa trybunału Bogdana Święczkowskiego i jego mocodawcy, czyli Jarosława Kaczyńskiego. W noc piątkową usłyszeliśmy, że gmachu pilnuje ZOMO (chyba wskrzeszone w ramach Halloween), rząd wprowadził stan wojenny, a, jak ujął to Antoni Macierewicz, ekipa Tuska dokonała zbrodni na narodzie.

Czyżby? A nie jest tak, że oglądaliśmy tylko (i aż!) popis bezceremonialności władzy, nie zaś stan wojenny? Premier ocenił sytuację mniej więcej w ten sposób: każdy wie, że TK nie będzie już nigdy ponadpartyjny i kierujący się prawniczym sumieniem. No to wbijamy. Trybunał będzie nasz, a nie będzie ich – i tyle. Sorry, taki mamy klimat. Przy okazji pokażemy prezydentowi, że władza jest w naszych rękach. Ani jego orędzia, ani jego (!) sędziowie w niczym nam nie przeszkodzą, bo w rzeczywistości pozaprawnej liczy się ten, kto może posłużyć się środkami przemocy. (Nawiasem mówiąc, szef związku zawodowego policjantów, podważający prawo rządu do rzucania oddziałów prewencji wedle własnego widzimisię, zachowuje się bohatersko).

Postępowanie premiera i jego (!) sędziów jest antykonstytucyjną grandą. Otwiera drogę do kolejnych nadużyć. Wojną z narodem nie jest ani nawet zamachem stanu.

Setki białych kasków i wycie policyjnych aut – nic dziwnego, że ta sceneria wywołuje chęć zestawienia 30 października z 13 grudnia. To zestawianie i podkręcanie emocji spod znaku stanu wojennego prowadzi – i taki ma cel – do uniknięcia prostego pytania: czy PiS nie jest współwinny tej sytuacji? Nie współwinny wyprowadzeniu z koszar oddziałów prewencji, bo to decyzja premiera. Współwinny temu, że Trybunał Konstytucyjny jest zmarginalizowanym ciałem, od miesięcy wręcz niefunkcjonującym.

Czy premier Beata Szydło nie wstrzymała drukowania orzeczeń trybunału, bo był on „niesłuszny”, jeszcze nie do końca przejęty i upartyjniony? Czy prezydent Andrzej Duda, mianując prezesem trybunału polityka PiS z wątłym dorobkiem prawniczym (kogóż takie rzeczy obchodzą), nie wskazał jasno, jaki jest cel kolejnych odsłon bitwy o TK? Czy prezydent Karol Nawrocki, blokując zaprzysiężenie czterech z sześciu wybranych przez Sejm sędziów, nie dorzucił węgla do pieca? A owszem. Nie ma się co stroić w piórka obrońców prawa, bo z reguły PiS stawał w ostatnich latach w obronie PiS.

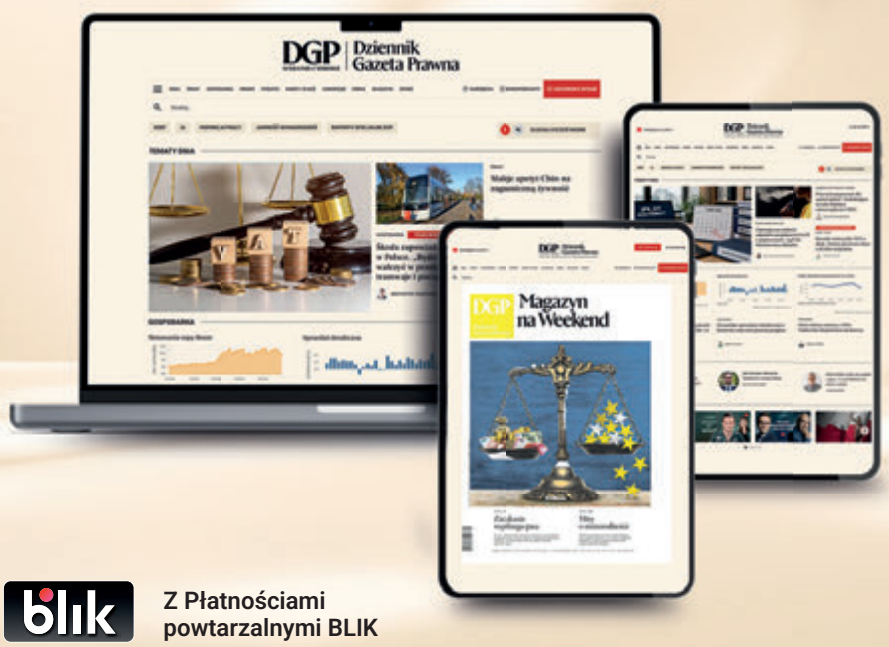
Tu warto zrobić skok w bok od narracji głównej. Bardzo często, kiedy obóz premiera Tuska zachowuje się niedemokratycznie albo niemądrze, rozpoczyna się, ni z grusz-

AUTOPROMOCJA

DGP

Subskrybuj 29 zł za miesiąc

To mniej niż 1 zł / dziennie przez 3 miesiące



blik Z Płatnościami powtarzalnymi BLIK

Subskrybuj na: dgp.pl/subskrypcja

eprasa.pl 07e1667bc0

ki, ni z pietruszki, masywna opowieść wielu mediów o tym, jaki PiS jest zły. No i fajnie, niech sobie będzie zły, nawet niechby sobie był gorszy niż KO, jednak ta nibydyskusja o PiS ma odciągać zwolenników rządu od refleksji nad jakością obecnych rządów. Nie główkujcie, kochani, nad Tuskiem i Berkiem. Zamiast tego powspominajmy, jak było fajnie palić świeczki pod sądami. Ech, jacy byli wtedy straszni Ziobro i Kaczor.

Nie wchodząc w ten schemat odciągania uwagi od Tuska, trzeba jednak mieć na uwadze prawdę. Pamięć o tym, że wrogość polityków do niezależnego sądownictwa nie zaczęła się wczoraj, jest kluczowa, aby nie popaść z jednego kłamstwa (KO) w drugie (PiS) – i tak się bujać do końca świata.

Szef kancelarii premiera, Zbigniew Bogucki, w emocjonalnym, ale, trzeba przyznać, świetnie zbudowanym wystąpieniu przed dziennikarzami (2 listopada) przestrzegał przed „symetryzowaniem sytuacji". Bo przecież: „Prawda leży tam, gdzie są fakty, tam, gdzie jest prawo zapisane w Konstytucji RP i ustawach, a nie w różnego rodzaju zupełnie absurdalnych interpretacjach tworzonych na potrzeby chwili, potrzeby polityczne". W tym sęk, że owo symetryzowanie to nic innego jak szukanie prawdy, zestawianie faktów zgodnie z rzeczywistością, a nie z przyjętą linią narracyjną. Oni – i z KO, i z PiS – już udowodnili ponad wszelką wątpliwość, że chcą trybunału podporządkowanego władzy. I potrafią znaleźć sojuszników takiej podłej polityki pośród prawników.

To, że upadek TK ma wielu ojców, nie usprawiedliwia ostatniej szarży premiera. Tak jak nie usprawiedliwia pokrętnych, skleconych jakby przez AI wyjaśnień sędzi Anny Korwin-Piotrowskiej, mających tłumaczyć, że to, co nie jest umocowane w prawie, jest umocowane, skoro umożliwia usunięcie prezesa Święczkowskiego. I tylko sfanatyzowanym zwolennikom premiera może się wydać przekonujące objaśnienie, że większość dwóch trzecich z 15 to 8. Tak udało się wyliczyć prawnikom obradującym pod czujnym okiem Korwin-Piotrowskiej.

Każdy z nas ma prawo uznać, że trybunał to zawracanie głowy i po prostu chcieć, aby jego ulubiona partia zgarnęła tę instytucję, niczym spółkę Skarbu Państwa, jako łup. Można nawet mieć pewien szacunek dla osób, które tak stawiają sprawę, prosto i jasno. Reszta kaowców i pisowców, zawsze gotowych, by bronić wolnych sądów, ale tylko przed politycznymi przeciwnikami, to tylko hipokryci.

Znany prawnik z Fundacji Batorego, komentujący prawno-polityczne zawirowania, w tych ostatnich dniach jakby wzruszył ramionami: „W tej chwili, mówiąc bardzo ogólnie, nikt nie ma racji w stu procentach, ale nawet jej posiadanie nie jest kluczowe. Dziś TK jest uznawany za organ upolityczniony i nie wiem, jak po tym wszystkim, co oglądamy, miałoby się to zmienić. (...) Obie strony zademonstrowały pokaz siły". Trafna konkluzja, bo prawdę mówiąc, wszyscy, którzy dobrze życzą Rzeczypospolitej na pierwszym miejscu, a swojej partii dopiero potem, są bezradni. Przemoc, chociażby werbalna i symboliczna, a cóż dopiero namacalna, zachęca do opowiedzenia się po „słusznej" stronie. Co prawda akurat 30 października przemoc zaprezentowana przez premiera była nieporównanie większa niż ta w wykonaniu prezydenta.

Warto jednak zwrócić uwagę na swego rodzaju pozytywny scenariusz, kreślony przez eksperta: „Chyba już lepszym scenariuszem byłoby powolne wygaszanie działalności TK niż takie próby odzyskania go. (...) To naiwne, ale mnie jednak chodzi o przywrócenie zaufania do szeroko rozumianego prawa i wymiaru sprawiedliwości, szczególnie że przez lata temperatura sporów wokół niego nie była jednak tak wysoka".

Pozytywny scenariusz byłby inny niż niezgodne z obecną konstytucją wygaszanie TK. Jestem o tyle w trudnym położeniu, że uważałem powoływanie specjalnej instytucji pełniącej faktyczną rolę trzeciej izby parlamentu za kontrowersyjny pomysł. Z tego powodu byłbym poparł wygaszanie, ale w obecnej chwili (ach, ta mądrość etapu, o której mówił Lenin!) najpierw musimy znaleźć odpowiedź na pytanie: kto miałby tego dokonać? Koalicja, która od trzech lat wygasza TK, nie publikując jego orzeczeń? Zajęcie ogródka wokół TK przez setki policjantów to kolejny etap działań rządu, a nie eksces. Rządu, który, jeśli chodzi o elastyczne podejście do litery prawa, przeskoczył PiS. Posługując się tą samą retoryką – litera literą, ale ważny jest duch, a my mamy monopol na porozumiewanie się z duchem.

Tak, trzeba przede wszystkim patrzeć władzy na ręce, dopiero w drugiej kolejności opozycji. Niemniej politykom opozycji nie należy odpuszczać, nawet jeżeli obecnie grozi im działalność Tuska. Prawda, to prawda.

Teoretycznie, jak powiedział kiedyś Sławomir Mentzen, „w moim idealnym świecie" polscy parlamentarzyści podejmą starania, aby krok po kroku odejść od sytuacji, której rozwiązaniem ma być wygaszanie kolejnych fragmentów polskiej konstytucji. Właściwie nie sposób wyobrazić sobie realizacji naprawdę pozytywnego scenariusza bez odsunięcia przez parlament premiera Tuska od władzy. Ten mówił kiedyś, że nie przekaże przywództwa partii nikomu, kto sobie przywództwa nie wywalczy. Pozostaje liczyć na to, że ktoś powalczy. Reset konstytucyjny, o którym mówi w ostatnich dniach tak wielu, jest szalenie mało prawdopodobny. Reset personalny jest znacznie łatwiejszy do realizacji.

Maksymilian Robespierre, lider jakobinów, w czasie rewolucji francuskiej został obalony przez „bagno". Tym pieszczotliwym mianem rewolucjoniści określali parlamentarzystów, którzy też byli za rewolucją, ale nie wykazywali zapału do jej radykalizacji. Jakobini nie cenili „bagna", aż któregoś dnia było po Robespierze – i zatriumfowała stabilizacja. ©℗

REKLAMA



eprasa.pl 07e1667bc0

Świat

MAGA ma swoją rebelię

W wyborach połówkowych Amerykanie odrzucili trumpistowski styl uprawiania polityki i oligarchizację. Zagłosowali przeciw kosztom, które ponoszą zwykli ludzie



FOT. KENT NISHIMURA/AFP/EAST NEWS

Emilia

Świętochowska

Choć wszystkie sondaże wskazywały, że republikanów czeka dotkliwa porażka, nawet najwięksi optymiści w obozie demokratów powątpiewali w zapowiadaną niebieską falę. Ich sceptycyzm miał solidne podstawy – w ostatniej kampanii prezydenckiej modele prognostyczne zaniżyły poparcie dla Donalda Trumpa. Tym razem się nie doszacowały drugiej strony. Amerykanie bezlitośnie ocenili dorobek prezydentury MAGA: demokraci przejęli kontrolę nad obiema izbami Kongresu, podbijając mateczniki prawicy, w których przez dziesięciolecia zbierali cięgi.

Rozmach tego zwycięstwa przyćmiewa nawet wielki powrót Trumpa w 2024 r., który po czterech latach na wygnaniu w Mar-a-Lago nie tylko zgarnął kluczowe stany pasa rdzy, umacniając dominację na białej prowincji, lecz także zdobył latynoskie hrabstwa przy granicy z Meksykiem oraz poprawił swoje wyniki na zamożnych przedmieściach Chicago czy Filadelfii. Największy polityczny ciężar ma sukces demokratów w prawie 32-milionowym Teksasie, gdzie mandat senatora wywalczył James Talarico, a urząd gubernatora Gina Hinojosa. Talarico, który od czterech kadencji zasiada w stanowej legislaturze, zręcznie przełożył krytykę politycznych wpływów miliarderów na problemy zwykłych Amerykanów, a sprzeciw wobec koncentracji bogactwa wpisał w etykę chrześcijańską. – Niewielu stawiało na nas w tym wyścigu – podkreślił po ogłoszeniu wygranej. – Musieliśmy się zmierzyć z lawiną negatywnych reklam, kampaniami zastraszania, zagranicznymi botami i generowanymi przez AI deepfake'ami, wszystkim, co można kupić za pieniądze. Te ataki były ostatnimi wrzaskami dogorywającego establishmentu – przekonywał.

Spektakularny wzlot 37-letniego Talarica jest wyjątkowo kompromitujący dla prezydenta, który nalegał na wystawienie przeciwko niemu Kena Paxtona, uwikłanego w serię korupcyjno-obyczajowych skandali byłego stanowego prokuratora generalnego, mimo ostrzeżeń lokalnych notabli, że partia może to przypłacić utratą mandatu. Jeszcze większą niespodziankę sprawiła Hinojosa, jedna z najbardziej progresywnych stanowych legislatorek, która pozbawiła gubernatora Grega Abbotta szansy na czwartą kadencję. Podobnie jak Talarico zjednała sobie sympatyków, skupiając się na takich sprawach jak ograniczenie przywilejów najbogatszych czy zwiększenie inwestycji w usługi publiczne.

Kolejny historyczny wynik padł w ultrakonserwatywnym Kansas, gdzie Adam Hamilton, pastor Kościoła metodystycznego i polityczny debiutant, przerwał trwającą od 1932 r. zwycięską passę republikanów w wyścigach do Senatu. Jego rywal Roger Marshall przez większość kampanii był tak spokojny o reelekcję, że nawet nie organizował spotkań z wyborcami. Gdy na trzy tygodnie przed głosowaniem partyjna centrala wysłała mu na ratunek swoich strategów, odrobienie strat nie wcho-

eprasa.pl 07e1667bc0

dziło już w grę. Republikanie długo nie dowierzali też, że demokrata może wygrać w rolniczym Iowa. Cła oraz szybujące ceny oleju napędowego i nawozów tak mocno uderzyły jednak w mieszkańców wsi, że postanowili ukarać administrację, wybierając Josha Turka, paraolimpijczyka i stanowego legislatora, który obiecał bronić w Waszyngtonie interesów klasy pracującej.

Do tych zdobyczy demokraci dorzucili jeszcze cztery inne stany, które w wyborach prezydenckich opowiedziały się za Trumpem: uchodzącą za bastion prawicy Karolinę Południową, Ohio, Karolinę Północną i Michigan. Ten ostatni stan stał się areną wyjątkowo ostrej rywalizacji, przebiegającej w atmosferze islamofobicznych ataków i wewnątrzpartyjnych sporów. Faworyta prezydenta Mike'a Rogersa pokonał tam Abdul El-Sayed, progresywny polityk i lekarz o egipskich korzeniach, który zbudował swój przekaz wokół powszechnej opieki medycznej, zwalczania oligarchizacji i obniżenia kosztów życia. Napięcia z establishmentem wywołało jego stanowisko wobec Izraela i Palestyny, kwestii, które mają duże znaczenie w Michigan, gdzie mieszka druga co do wielkości społeczność Amerykanów pochodzenia arabskiego. El-Sayed konsekwentnie określał wojnę w Strefie Gazy ludobójstwem i domagał się wstrzymania pomocy wojskowej dla rządu Binjamina Netanjahu. „Jeśli uważasz, że palestyńskie dzieci powinny móc dorastać na ziemi swoich przodków, zamiast ginąć od broni finansowanej z naszych podatków, próbują przypiąć ci łatkę człowieka pełnego nienawiści" – dowodził senator elekt.

Polityka innego rodzaju

Wyniki tych wyborów są wyrazem odrzucenia trumpistowskiego stylu rządzenia i polityki redukowanej do rytuału brutalnego pastwienia się nad przeciwnikiem: demonizowania, wyśmiewania, szydzenia i poniżania. Wiece MAGA zawsze obfitowały w ksenofobiczną retorykę i niewybredne wycieczki personalne, ale w ostatnich tygodniach kampanii ich jadowitość nabrała desperackiego tonu, w którym dzisiaj można odczytać niepokój, że klęska jest nieuniknione. Aby zdyskredytować El-Sayeda w oczach elektoratu, prezydent wykorzystał zestaw zgranych stereotypów i oszczerstw: nazywał go „dżihadystą" i „członkiem Bractwa Muzułmańskiego", który wprowadzi w Michigan szariat i ściągnie z Bliskiego Wschodu hordy fundamentalistów. Trump nie tylko kwestionował jego patriotyzm, lecz także sugerował, że dopuszczenie go do tajemnic państwowych mogłoby narazić Amerykę na kolejny zamach terrorystyczny. „Będzie jedynym senatorem, który przed wejściem będzie musiał przechodzić przez wykrywacz metalu" – mówił swoim sympatykom w Port Huron. Równie tanie chwyty stosował wobec pozostałych demokratów, którzy rozbili hegemonię republikanów. Adama Hamiltona, zwycięzcę z Kansas, określił mianem zboczeńca, insynuując, że tuszował sprawę molestowania dziecka w swojej parafii. Przy innej okazji odmalowywał go jako przebranego za centrystę „radykalnego lewaka", który chce zakazać hodowli bydła z powodu zmian klimatu. Jamesa Talarica próbował wydrwić jako zniewieściałego dziwaka i zakamuflowanego weganina, który na pokaz zajada się teksańską wołowiną, by potem zwymiotować ją za kulisami.

Te napastliwe tyrady nie wzbudzay już takich zachwytów i techotów jak w szczytowym okresie popularności MAGA. Nie chwyciły żadne narracje z repertuaru wojen kulturowych, które nabijają trumpistom zasięgi na platformach społecznościowych: o czyhających na chrześcijańskie wartości wojownikach „woke", wielkomiejskich elitach oderwanych od codziennych doświadczeń ludu czy transpłciowych aktywistach namawiających nastolatków do korekty płci... Bardziej niż toporne „oranie liberałów" przemówiły do wyborców przesłania o obronie słabszych i niezgodzie na krzywdę. „Pokazaliśmy, że można uprawiać innego rodzaju politykę – opartą na głębokiej miłości do naszego stanu, naszego kraju i wszystkich naszych sąsiadów" – cieszył się Talarico.

W 2022 r., podczas poprzednich wyborów połówkowych, w utrzymaniu kontroli w Senacie pomogło demokratom oburzenie wyrokiem Sądu Najwyższego, który obalił federalne prawo do przerywania ciąży. Ochrona praw reprodukcyjnych stała się też jednym z filarów kampanii prezydenckiej Kamali Harris. W tym cyklu wyborczym aborcja nie znalazła się nawet w pierwszej dwudziestce najważniejszych problemów kraju wymienianych przez Amerykanów. Na pierwszym planie znalazły się sprawy ekonomiczne, zwłaszcza napędzane wojną w Iranie rekordowe ceny paliw i rosnące koszty życia. W sondażach przeprowadzonych w lokalach wyborczych niemal 80 proc. respondentów przyznało, że w ciągu ostatniego roku inflacja odbiła się na ich domowych budżetach. 75 proc. oceniło kondycję gospodarki jako niezbyt dobrą lub fatalną, a blisko dwie trzecie stwierdziło, że polityka Białego Domu tylko ją pogorszyła. Demokraci trafnie odczytali te nastroje, nadając swojej retoryce populistyczny odcień. Ich przekaz można streścić tak: „Podczas gdy Waszyngton ułatwia korporacjom i oligarchom pomnażanie fortun, reszcie społeczeństwa coraz trudniej opłacić leczenie i mieszkanie".

> Demokraci nie kwapią się, aby po raz trzeci postawić Trumpa w stan impeachmentu. Obie poprzednie próby zakończyły się widowiskową klapą – zamiast pogrzebać polityczne ambicje dewelopera z Nowego Jorku, umocniły jego władzę nad partią i dały okazję wypromować się na ofiarę prześladowań

Dwa lata temu Trump zjednoczył pod szyldem MAGA grupy z odległych biegunów demograficznych i klasowych: białych ewangelikanów, młodych mężczyzn, matki z przedmieść, miliarderów z Doliny Krzemowej i latynoskich robotników. Przyciągnął niemałą część pokolenia Z, a nawet wyszarpał kilka punktów poparcia u czarnych i azjatyckich Amerykanów. Z dzisiejszej perspektywy koalicja ta wydaje się bardziej doraźnym sojuszem niż blokiem wyborczym, który miałby wyznaczać kierunek amerykańskiej polityki przez następną dekadę. Mężczyźni przed trzydziestką przeżyli najsilniejsze rozczarowanie rządami Trumpa, co pokazuje ich 38-punktowy zwrot na lewo (62 proc. z nich tym razem wolało demokratów). Liberałom udało się też odzyskać głosy Latynosów, czasem z nawiązką. Dobrze ilustruje to przykład położonego w południowym Teksasie hrabstwa Starr, jednego z tych, gdzie w większości domów mówi się po hiszpańsku. Aż 77 proc. osób postawiło tam na Talarica. Dwa lata temu 58 proc. opowiedziało się za Trumpem. „Prezydent prosił wyborców, by głosowali tak, jakby sam startował. Według moich obserwacji Latynosi go posłuchali: jednoznacznie odrzucili jego skrajną politykę i wszystkich, którzy jej przyklaskiwali" – oświadczyła Janet Murguia, szefowa organizacji UnidosUS. Wyraźnie w lewo przesunęli się również niezamożni Amerykanie bez wyższego wykształcenia. Najbardziej lojalnym ogniwem elektoratu MAGA pozostają biali ewangelikalni protestanci, wśród których prawie jedna trzecia identyfikuje się z chrześcijańskim nacjonalizmem.

Nie wygrały pieniądze

Chociaż była to najdroższa kampania w historii, pieniądze nie odegrały w niej większej roli. Według szacunków firmy AdImpact łączne wydatki na reklamę sięgnęły w tym cyklu 11,6 mld dol., o 400 mln więcej niż w wyborach prezydenckich w 2024 r. Kwota ta stanowi z grubsza tyle, ile w całym zeszłym roku amerykański przemysł muzyczny zarobił na streamingu i sprzedaży płyt. A trzeba dodać, że nie obejmuje ona setek milionów dolarów, które poszły na inne formy mobilizacji wyborców – od ulotek i SMS-ów po wiece i pukanie do drzwi. Ze zbiórek prowadzonych przez samych ▷

PROMOCJA



eprasa.pl 07e1667bc0

kandydatów demokraci zebrali więcej datków, ale republikanie i tak mieli zdecydowaną przewagę finansową dzięki miliarderom i korporacjom, którzy hojnie zasilili wspierające ich niezależne komitety polityczne, czyli tzw. super PACs (mogą one przyjmować nieograniczone sumy i kupować za nie reklamy, ale nie mogą uzgadniać ich treści ze sztabem kandydata).

Elon Musk, który po burzliwym rozstaniu z Białym Domem zszedł z politycznego afisza, bynajmniej nie porzucił roli czołowego mecenasa MAGA. Na starty republikanów wyłożył z własnej kieszeni 474 mln dol., zostawiając innych megasponsorów daleko w tyle. Najbogatszy człowiek świata praktycznie w pojedynkę zapłacił opiewający na 212 mln dol. rachunek za katastrofalną kampanię Kena Paxtona. Proizraelska organizacja lobbystyczna AIPAC wpakowała fortunę w torpedowanie kandydatury El-Sayeda, a mimo to zagłosowała na niego nawet większość żydowskich wyborców. Z wyliczeń „Washington Post" wynika, że 7 z 10 największych darczyńców poparło konserwatywnych kandydatów.

Trump poświęci część swoich

Już w noc wyborczą posypały się głosy, że nowy układ sił w Waszyngtonie zwiastuje koniec epoki Trumpa. Trudno jednak oczekiwać, że przewrót na Kapitolu pociągnie za sobą zmianę kursu Białego Domu. Od początku kadencji administracja ignoruje Kongres, ten zaś bez większych oporów pozwalał jej wchodzić w swoją rolę. Prezydent forsował swoje sztandarowe projekty niemal wyłącznie za pomocą rozporządzeń i nadzwyczajnych uprawnień przysługujących mu w sytuacjach kryzysowych: wszczynał wojny, masowo zwalniał urzędników, likwidował agencje federalne, wprowadzał cła, posyłał na ulice uzbrojone po zęby legiony ICE, wstrzymywał wypłatę przewidzianych w ustawach funduszy... Republikańska większość biernie się temu przyglądała, a jeszcze częściej dopingowała. Spory o to, jak daleko może się posunąć władza, zostawiano do rozstrzygnięcia sądom. Klasyczna strategia Trumpa polega na działaniu metodą faktów dokonanych: nawet jeśli wymiar sprawiedliwości podważy legalność jego decyzji, odwrócenie ich skutków może być już niemożliwe.

Zdominowany przez demokratów Kongres użyje wszystkich dostępnych narzędzi, by blokować inicjatywy Białego Domu oraz jego nominatów na wysokie stanowiska w administracji i urzędy sędziowskie. Trump skupi się więc pewnie na polityce zagranicznej, w której ma największą swobodę manewru. Nowa większość planuje ofensywę legislacyjną, obejmującą m.in. przywrócenie wyższych dopłat do ubezpieczeń zdrowotnych, zniesienie ceł i zakończenie operacji w Iranie, ale w praktyce skończy się na symbolicznych głosowaniach. Szef administracji zapowiedział już, że „przez miesiąc czy dwa" będzie wetować ustawy demokratów, potem „może zawrze z nimi jakieś porozumienia".

Zwycięski obóz szykuje lawinę dochodzeń dotyczących biznesowego imperium rodziny Trumpów – zaczynając od ich przedsięwzięć kryptowalutowych i inwestycji w firmy z sektora obronnego, które zdobyły zlecenia od Pentagonu. Na celowniku znajdzie się też działalność zięcia prezydenta Jareda Kushnera, który w pierwszej kadencji pełnił funkcję doradcy ds. polityki zagranicznej, a po odejściu z Białego Domu założył firmę private equity Affinity Partners, która otrzymała 2 mld dol. od saudyjskiego funduszu majątkowego. Katalog spraw budzących podejrzenia o korupcję jest bardzo obszerny: „zaginione" akta Epsteina, ułaskawienia powiązanych z Trumpem lobbystów i biznesmenów, przyznawanie kontraktów bez przetargów, ugoda z urzędem skarbowym, która ma chronić familię przed audytami...

Demokraci nie kwapią się za to, aby po raz trzeci postawić Trumpa w stan impeachmentu. Obie poprzednie próby zakończyły się widowiskową klapą – zamiast pogrzebać polityczne ambicje dewelopera z Nowego Jorku, umocniły jego władzę nad partią i dały okazję do wypromowania go na ofiarę prześladowań. Chociaż wojna z Iranem i afera Epsteina odsłoniły pęknięcia w obozie MAGA, nie ma powodu, by sądzić, że tym razem część republikanów zagłosowałaby za usunięciem Trumpa z urzędu.

Inaczej wygląda sprawa z członkami jego gabinetu. Na pierwszy ogień może pójść sekretarz obrony Pete Hegseth, który obrywa nawet od niektórych konserwatystów za nieudolność i podsycanie ideologicznych awantur. Demokraci – przez dwa lata strofowani za pasywność i bezradność – będą chcieli wreszcie wykazać się przed elektoratem, a trudno o łatwiejszy cel niż osoba, która stała się twarzą kolejnego kosztownego konfliktu na Bliskim Wschodzie. Nie da się też wykluczyć, że zanim nowa większość sporządzi akt oskarżenia, byłego gwiazdora Fox News pozbędzie się sam prezydent. Od kilku tygodni krążą plotki, że w zamian za odwołanie Hegsetha demokraci mieliby zagłosować za dodatkowymi funduszami dla Pentagonu, o które wystąpił Biały Dom. Następny do odstrzału może być sekretarz zdrowia Robert F. Kennedy Jr., którego pozycję osłabiły nagłówki o rozlewających się ogniskach odry i tysiącach ludzi zatrutych sałatą lodową.

Jeszcze całkiem niedawno wielu komentatorów twierdziło, że wybory w 2024 r. na lata utrwalą dominację konserwatywno-natywistycznej reakcji, a demokratów skażą na margines za rzekome ekscesy swojej lewej flanki. Scenariusz ten podbijała dorobiona przez trumpistów legenda, że ich lider odniósł wtedy przytłaczające zwycięstwo, które dało mu mandat do gruntownej przebudowy państwa. W rzeczywistości wygrał przewagą 1,5 pkt proc. Dla porównania w 2020 r. Joe Biden zwyciężył różnicą 4,5 pkt proc. W ciągu dekady ruch MAGA przepoczwarzył się z antyestablishmentowej rewolty w system wymiany przysług i korzyści ekonomicznych dla miliarderów i influencerów. Może teraz on doczekał się własnej rebelii? ©℗

Więcej tekstów tego autora Skanuj kod! DGP.pl

Nowa epoka korupcji

Władza stała się w gruncie rzeczy przykrywką dla działań na rzecz pomnażania osobistych majątków przez tych, którzy rządzą. To jest ta zmiana w paradygmacie związana z osobą Trumpa

Z Sarah

Chayes

rozmawia Eliza Sarnacka-Mahony

Czy Trump jest najbardziej skorumpowanym prezydentem w historii USA?

Jest. I bije wszelkie rekordy.

Nie było równie skorumpowanych polityków w Białym Domu?

Chodzi o to, w jaki sposób uprawia korupcję: a uprawia ją w sposób jawny, bezczelny, ostentacyjny. Choć od razu dodam, że oceniając prezydentów, mamy tendencję cofać się tylko o 100 lat, najchętniej do czasów Franklina Delano Roosevelta. Zapominamy o prezydenturach ludzi takich jak Ulysses Grant czy James Garfield z drugiej połowy XIX w.

Amerykański rząd był wówczas...

Jarmarkiem. Wciąż obowiązywała tradycja, że ludzie mogą przyjść do Białego Domu, by ubiegać się o posady i pomoc, zaś w zamian oferowali własne usługi i znajomości. Korupcji najprawdopodobniej dopuszczał się Abraham Lincoln, ukochany prezydent Amerykanów. Uważał to za konieczność, godził się na nią, żeby zdobyć poparcie dla najbardziej kontrowersyjnych reform, takich jak np. zniesienie niewolnictwa. Trumpa wyróżnia także to, że nie usprawiedliwiają go żadne nobliwe cele. Uprawia prywatę w czystym wydaniu, bez hamulców i skruchy, z nikim się nie licząc.

W książkach dowodzi pani, że korupcja w USA jest systemowa. Co ma tłumaczyć też to, dlaczego część Amerykanów nie ma problemu z działaniami Trumpa.

Mówiąc „systemowa", nie mam na myśli tego, że istnieje powszechne przyzwolenie na nią. Amerykanie widzą korupcję i są nią oburzeni. Jednak tym, co odróżnia nas od innych państw demokratycznych, szczególnie europejskich, jest reakcja na to, co się wokół dzieje. Co z kolei wiąże się z kolejnym ciekawym faktem. Architektura naszego systemu korupcji przypomina to, co widzimy w krajach rozwijających się, a nie to, co można zaobserwować w innych krajach wysoko rozwiniętych. W nich tendencja jest taka, że mniej więcej od 2010 r. mamy ruchy antykorupcyjne, wstrząsy, protesty. W Ameryce sprawy poszły w innym kierunku. Wyrazem sprzeciwu stała się polityczna absencja – wycofywanie się z procesu wyborczego. Dlatego tak łatwo to pomylić z przyzwoleniem. Ta postawa mocno wpłynęła na wyniki wyborów już w 2016 r.

Dając Trumpowi pierwszą prezydenturę.

Bardzo wielu uprawnionych nie wzięło wtedy udziału w głosowaniu. Była to większa grupa niż wyborcy Clinton i Trumpa. Przyglądałam się temu głosowaniu z bliska jako reporterka radia NPR News. Byłam w Wirginii Zachodniej, pamiętam, iż pytałam ludzi o to, jaki mają stosunek do korupcji. Byłam w szoku, bo w odpowiedziach słyszałam echo tego, co mówili mieszkańcy Nigerii czy Afganistanu w czasach, gdy pracowałam jako korespondentka w tamtych rejonach świata. A mówili oni: za pieniądze można kupić polityków, zaś wpływowych i bogatych nie spotyka za to żadna kara.

Jak to odnosi się do współczesnej Ameryki?

Przy braku aktywnego sprzeciwu obywatelskiego korupcja stała się celem władzy. To jest ta zmiana w paradygmacie związana z osobą Trumpa. Władza stała się w gruncie rzeczy przykrywką dla działań na rzecz pomnażania osobistych majątków przez tych, którzy rządzą. By było jasne: model

eprasa.pl 07e1667bc0

korupcji we współczesnej Ameryce to zbiorowe przedsięwzięcie. To nie zbiór jednorazowych przypadków, nie pojedyncze skandale. I znów ważna uwaga. W zależności od sytuacji w danym kraju system korupcyjny może być realizowany przez układ centralny lub sieć układów.

W USA układ jest obecnie zdominowany przez Trumpa?

Oczywiście. I jeszcze jedna rzecz warta podkreślenia. Wielu Amerykanów wciąż nie oswoiło się z myślą, a nawet nie ma takiej świadomości, że w tym układzie nie ma już tradycyjnych podziałów na obszary, których korupcja dotyczy, a więc sektory: publiczny, prywatny, przestępczy. W tym współczesnym układzie stoją obok siebie biznesmeni, filantropi, kryminaliści, urzędnicy i członkowie aparatu władzy. A przez obrotowe drzwi przechodzą wciąż ci sami ludzie, bo ich zadaniem jest tak naginać władzę państwową, by służyła celom układu. Popatrzmy na członków rządu. Stało się normą, że większość z nich po odejściu z urzędu zarabia w firmach, które skorzystały na zmianie przepisów, jakie oni wcześniej wprowadzili. Powszechnie zarabiają też oczywiście rodziny ludzi z układu.

Jak synowie Trumpa.

Jeszcze lepszym przykładem jest jego zięć Jared Kushner. Ten człowiek jeździ po świecie i reprezentuje amerykański rząd, choć nie ma do tego żadnych formalnych uprawnień, a chodzi o to, by mógł przy okazji załatwiać swoje prywatne interesy. W ogólnym ujęciu to najbardziej rozpowszechniony model korupcji – horyzontalnej, a więc dziejącej się na szczytach. Z wertykalną mamy do czynienia wtedy, gdy istnieje korupcja na poziomie ulicy, bardzo rozpowszechniona w krajach rozwijających się. Pieniądze wędrują wtedy w górę. Zwykły człowiek płaci łapówki policjantom czy lekarzom, ci swoim przełożonym i tak dalej, a wszyscy robią to dla bezpieczeństwa i dla możliwości funkcjonowania. Nie wydaje mi się, że korupcja wertykalna jest aż takim problemem w Ameryce, choć jej przykładem będzie pewnie praktykowane przez Trumpa nagradzanie lojalnych zwolenników stanowiskami.

Gdzie są korzenie korupcji w USA?

To było dla mnie szokujące odkrycie, gdy zaczęłam zgłębiać temat. Zadałam sobie pytania: czy jest możliwe, że korupcja i nasz stosunek do niej mogą mieć głębsze wyjaśnienie niż tylko zwyczajną ludzką chciwość, źle pojmowaną ideę sprytu czy życiowej zaradności? I czy korupcja może wiązać się z obyczajowością, powszechnie uznawanymi wartościami? Zaczęłam od Ojców Założycieli. Nie chcę ich gloryfikować, bo mają dużo na sumieniu. Wielu miało niewolników, a George Washington miał obsesję na punkcie skupywania ziemi, więc stał się posiadaczem przeogromnego majątku. Ale wszyscy z nich mieli poczucie swego miejsca w historii. Byli też ludźmi honoru – i ten przykład szedł z góry. Korupcja na dobre wkroczyła do USA po wojnie secesyjnej, to wtedy zaczyna się sławetna „pozłacana epoka", era gwałtownego rozwoju i błyskawicznego bogacenia się, którą ja rozciągam od lat 70. XIX w. aż do połowy lat 30. XX w.

Czyli wszystko przez naftę, stal i koleje?

One się przyczyniły do rozkwitu korupcji, ale najważniejszy był pieniądz. Dokładnie – idea pieniądza. Lubię to wyjaśniać przez mit o królu Midasie. Bogowie zgodzili się, żeby władca Frygii zyskał dar zamiany w złoto wszystkiego, czego dotknie; z początku Midas był zachwycony, lecz ostatecznie płaci za dar wysoką cenę – grozi mu śmierć głodowa, w złotą statuę zmienia swoją córkę. I tak jak Midas był zachłyśnięty złotem, tak ok. 1870 r. świat odkrył pieniądz, w tym sensie, że to pieniądz sam w sobie stał się środkiem do zdobycia statusu i pozycji. Wszystko zostaje więc podporządkowane zarabianiu. W USA mamy dodatkowo przeświadczenie, że to kraj nieograniczonych możliwości i każdy odniesie sukces, jeśli tylko stworzy dla siebie odpowiednią okazję. I to nie przypadek, że ten trend widzimy w tym czasie również w Anglii, we Francji, w Niemczech. A potem zaczęliśmy płacić cenę za to zachłyśnięcie się pieniądzem. Jeden po drugim światem wstrząsają skandale korupcyjne na niespotykaną dotąd skalę: afery wokół Kanału Panamskiego oraz Kanału Sueskiego, afera z Teapot Dome w USA („Prezydentura skandali", DGP Magazyn na Weekend nr 112 z 12 czerwca 2026 r.).

Dlaczego pani zdaniem „pozłacana epoka" trwa 60 lat? Według historyków kończy się ona wraz z nadejściem XX w.

Bo Teddy Roosevelt i progresywiści nie zrobili wystarczająco dużo, by na dobre zdusić towarzyszącą temu szybkiemu rozwojowi korupcję. Dalej była problemem, choć pojawiły się pomysłowe i kreatywne ruchy oporu przeciwko niej. Żeby naprawdę przełamać paradygmat korupcji, potrzeba fundamentalnej i powszechnej zmiany światopoglądu. Tego dokonały dopiero pospołu dwie wojny światowe, użycie bomby atomowej, masowy głód w Europie. Genialnie wyjaśnia ten mechanizm Rebecca Solnit w książce „A Paradise Built in Hell" (Raj wzniesiony w piekle). Masowa katastrofa wydobywa z nas, ludzi, empatię, solidarność i potrzebę niesienia pomocy innym. Dlatego nie było przypadkiem, że po II wojnie światowej i w USA, i na zachodzie Europy przyszła pora na pokolenie względnego egalitaryzmu. Nastał czas walki o prawa pracownicze, obywatelskie, prawa kobiet, potem prawa konsumentów i natury wokół. Pojawia się też koncept pracy publicznej jako sposobu na zdobycie prestiżu i pozycji społecznej, alternatywa dla posiadania wyłącznie odpowiedniej liczby zer na koncie bankowym.

Jeśli Donald Trump jest produktem tego dawnego systemu korupcji, to kiedy ten system wrócił?

W okolicach lat 80. XX w. Dla mnie ma to związek ze zmianą pokoleniową.

A nie wiąże się to ze wzrostem wpływów korporacji i wolnego rynku, które na nowo usankcjonowały chciwość?

Też, ale dla mnie to raczej sprawa pamięci historycznej. Tego, że przyszło pokolenie skłonne odchodzić od światopoglądu ukształtowanego przez katastrofę. Chciwość jako cecha ludzka istniała i istnieć będzie, lecz pamięć, w tym zbiorowa, przemija. Jest zresztą w Europie pewien wyjątek, w którym widzę potwierdzenie tej tezy. To Skandynawia. Pogoda i surowość środowiska są tam nieustającą katastrofą i bez ustanku wymuszają na mieszkańcach pewien stopień solidarności i dbania o siebie nawzajem. To z kolei czyni ich odpornymi na korupcję. Nie wydaje mi się, żeby stała za tym tylko jednorodność tamtejszych społeczeństw ani fakt, że to relatywnie małe kraje.

Czyli można powiedzieć, że najnowszy rozdział w historii korupcji w USA to kolejny z prezentów dla nas od Ronalda Reagana?

Deregulacja, która żywiła i żywi korupcję, zaczyna się właściwie już od Jimmy'ego Cartera. Reagan odpala ją w wersji turbo, ale to Bill Clinton przyklepuje wszystko, co zrobił Reagan, a nawet idzie dalej. Dla mnie to zresztą najbardziej niebezpieczny i brzemienny w skutki moment w naszej historii. Bo wtedy w Ameryce pojawił się ponadpartyjny konsensus, że sprawy można załatwiać z korzyściami dla siebie, z pominięciem ludzi i ich potrzeb, z zaniechaniem konceptu wyższego dobra.

Korupcja Trumpa zajęła wysokie miejsce na liście problemów, o których zwykli Amerykanie mówili przed wyborami połówkowymi. Ile zmieni odejście Trumpa z polityki?

Nie sądzę, by zmieniło zbyt wiele. Po pierwsze, mamy do czynienia z przeogromnymi szkodami. Pamiętajmy – korupcja to celowe wydrążanie państwa od środka. Skorumpowane układy demontują każdy element państwa, który mógłby im stanąć na drodze, a to, co zostaje, zamieniają w swoją broń. Trump i jego administracja działają wprost podręcznikowo. Nie da się tego wszystkiego naprawić w krótkim czasie. Po drugie, trumpizm rozumiany jako metody rządzenia, komunikowania się i docierania do ludzi też szybko nie zniknie. Ważne jest zwłaszcza to ostatnie. Trump potrafi genialnie przemawiać do wyborców i ich zmobilizować, a jego następcy pilnie się od niego uczą. Demokraci mogą mu tego tylko pozazdrościć.

Demokraci obiecywali Amerykanom w wyborach koniec trumpizmu. Nie uda się?

Oczywiście, będą próbowali to robić. Ale jak? Bo pamiętam, że miał być reset, gdy tylko na prezydenta wybierzemy Bidena. Szybko i prosto. Zrobimy to i tamto i gładko wrócimy do stanu sprzed 2015 r. A mamy drugą prezydenturę Trumpa. Dlaczego? Bo wyzwanie jest tak wielkie, że nie wystarczy „pomajstrować" przy systemie, żeby go naprawić. Głównym problemem jest fakt, że demokraci nie przejawiają chęci, żeby zmierzyć się z korupcją we własnych szeregach, a dopóki tego nie zrobią, nie ma mowy o resecie. I nie pomaga fakt, że żyjemy w czasach głębokiej polaryzacji, którą skorumpowane układy uwielbiają, bo bardzo im to pomaga w osiąganiu celów. W Ameryce te podziały są dziś tak silne, że widać je na ulicy. Często wystarczy na kogoś spojrzeć, by wiedzieć, czyim jest wyborcą. Ludzie kochają przywdziewać „partyjne mundurki": specyficzne kolory, fasony i symbole.

Ale przecież demokraci pokazali w wyborach swoją nową twarz, nie wierzy pani, że mogą dalej nas zaskakiwać?

Na razie nie mam podstaw do optymizmu. W czasie kampanii Bidena próbowałam w środowisku organizacji antykorupcyjnych stworzyć grupę, żeby podnieść alarm w sprawie Huntera Bidena. Nie chodziło o to, że jego działania były nielegalne, ale o to, by pokazać, że nie akceptujemy takiego modelu biznesowego; i wywrzeć presję na Bidenie seniorze, by wyznaczył granice. Z kilkuset organizacji odpowiedziała mi tylko jedna. Reszta nie chciała się w akcję zaangażować. ▷

> Deregulacja żywiła i żywi korupcję. To wtedy w Ameryce pojawił się ponadpartyjny konsensus, że sprawy można załatwiać z korzyściami dla siebie, z pominięciem ludzi i ich potrzeb, z zaniechaniem konceptu wyższego dobra

eprasa.pl 07e1667bc0

O jakiej więc zmianie mówimy? Ona może pojawić się tylko wtedy, gdy zaczniemy od samych siebie.

Łączy pani sprawę Huntera Bidena z tym, że Donald Trump odpiera dziś zarzuty o korupcję, mówiąc, że nie łamie prawa?

Właśnie o tym mówię. Bo w większości wypadków Trump rzeczywiście łamie jedynie normy i zasady. Te, które dotąd były szanowane, funkcjonowały jako nietykalne. A on jest nowym typem polityka i ich nie przestrzega. Dlatego potrzebne nam dziś w tym obszarze konkretne ustawodawstwo. Rygorystyczne prawa przeciwko nepotyzmowi, konfliktowi interesów, wykorzystywaniu informacji poufnych, i to nie tylko przez prezydenta, lecz także członków Kongresu.

Oraz nowe zasady finansowania polityki?

I to jak najszybciej. Obok systemu drzwi obrotowych pieniądze są dla układu drugą najważniejszą rzeczą. Inwestowanie w wybory nikogo nie wzbogaca, chodzi o to, co dzieje się później. Gdy darczyńca dostaje obiecaną posadę w zarządzie, w instytucji publicznej, grant, kontrakt. Wszystko to, co Trump teraz pokazuje. Nie wiem tylko, jak samo ustawodawstwo mogłoby tutaj nam pomóc. Nie zmieni przecież decyzji Sądu Najwyższego w sprawie Citizens United o tym, że finansowanie kampanii wyborczych to też forma wolności słowa. Obecny SN na pewno tego orzeczenia nie zniesie. Ten skład stoi po kompletnie złej stronie w kwestiach dotyczących walki z korupcją.

A więc znikąd nadziei?

Dla mnie dobry przykład idzie dziś z dołu. Z wielkim zainteresowaniem przyglądam się rozmaitym lokalnym eksperymentom; np. reformom burmistrza Zohrana Mamdaniego w Nowym Jorku, choć te rozwiązania nie sprawdzą się wszędzie. Jeśli wyjdziemy poza USA, to mam dużo nadziei związanych z ruchem na rzecz nadania praw istotom innym niż ludzie – nie mówię o AI, ale o świecie przyrody. W Ekwadorze kilka lat temu Mglisty Las Równikowy otrzymał od tamtejszego Sądu Najwyższego osobowość prawną – dzięki temu wygrał sprawę przeciwko koncernowi, który chciał na tym terenie wydobywać miedź i złoto. Wiem, że projekty podobnych ustaw nadających naturze byt prawny zostały złożone w Anglii i we Francji. Na wydziale prawa Uniwersytetu Nowojorskiego też jest już cała grupa ludzi przyglądająca się temu konceptowi.

Czyli nadzieja w młodych, bo to dla nich kwestie klimatyczne są ważne.

Zgoda, młodzi są bardziej wrażliwi na kwestie klimatyczne, ale nie wiem, czy możemy wobec tego już spać spokojnie, bo po prostu zrzucamy na nich odpowiedzialność za to, co sami zepsuliśmy. Nie wiem też, czy młodzi są od nas bardziej demokratyczni, a przede wszystkim, czy łączą ze sobą podstawowe fakty: że korupcja jest w istocie częścią mechanizmu wyzysku planety. U mnie ta świadomość pojawiła się dopiero wtedy, gdy wylądowałam na Bliskim Wschodzie i zobaczyłam z bliska, że islamskich ekstremistów napędza korupcja, ale ta z kolei jest motorem wyścigu o eksploatację zasobów naturalnych. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Sarah

Chayes

autorka książek „Thieves of State: Why Corruption Threatens Global Security" i „On Corruption in America: And What Is at Stake", były członek Democracy and Rule of Law Program w think tanku Carnegie Endowment for International Peace



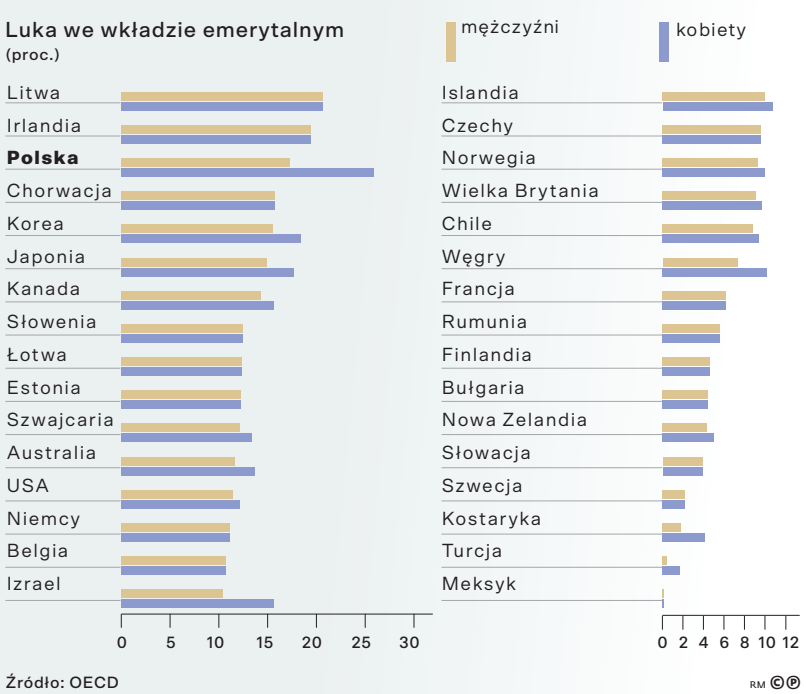
Mniej Więcej

Łukasz

Wilkowicz

Problem emerytalny

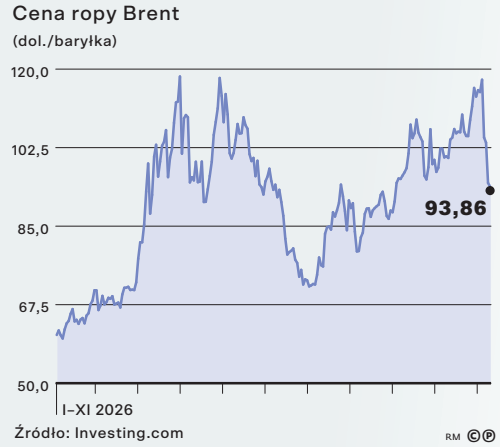
Wśród krajów Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju Polska jest jednym z niechlubnych liderów, jeśli chodzi o problem stopy zastąpienia: relacji emerytury do ostatniego wynagrodzenia. Pokazują to nowy raport OECD i zawarte w nim zestawienie luki wkładu emerytalnego – odsetka pensji, jaki średnio zarabiający powinni dodatkowo odkładać, by zapewnić sobie świadczenie odpowiadające 70 proc. wynagrodzenia. Problem dotyczy przede wszystkim kobiet, w przypadku których ta luka przekracza nawet 25 proc. (u mężczyzn jest to 17 proc.; większy problem mają tylko Litwini i Irlandczycy). „W połowie krajów luka w składkach jest największa w przypadku osób o wysokich dochodach, natomiast w 12 krajach to osoby o niskich dochodach muszą odprowadzać najwyższe składki" – zaznaczają eksperci OECD. ©℗



Źródło: OECD RM ©℗

Rynek ropy uwierzył w koniec wojny

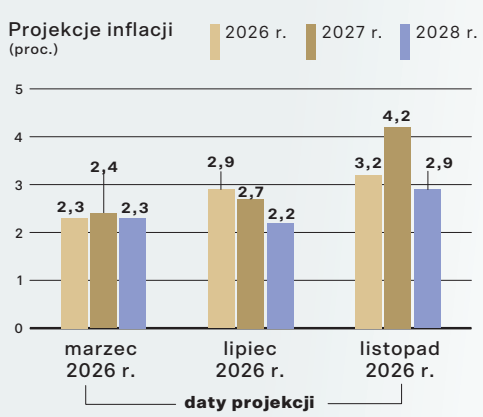
W reakcji na wygraną demokratów w połówkowych wyborach do Kongresu ceny ropy obniżyły się o niemal 10 proc. Rynek uwierzył, że ograniczenie władzy Donalda Trumpa mocno zwiększa szanse na zakończenie wojny na Bliskim Wschodzie. Za baryłkę ropy Brent w czwartek płacono ok. 95 dol. W porównaniu z końcem ubiegłego roku ropa wciąż jest droższa o niemal 60 proc. To w dolarach, bo w przeliczeniu na krajową walutę zwyżka wynosi ok. 67 proc. Cena benzyny w hurcie jest obecnie o niecałe 30 proc. wyższa niż na początku roku. Na ceny detaliczne dodatkowo wpływa rządowy program CPN. ©℗



Źródło: Investing.com RM ©℗

Inflacja dalej od celu

Wojna na Bliskim Wschodzie i związany z nią skok cen surowców (nie tylko ropy) mocno wpływają na ogólne trendy cenowe w Polsce. Odbiciem są zmieniające się przewidywania NBP co do ścieżki inflacji zarówno w tym roku, jak i w dwóch kolejnych latach. Z najnowszej projekcji wynika, że średnioroczna inflacja w 2026 r. wyniesie ok. 3,2 proc. Jeszcze w lipcu spodziewano się, że będzie to 2,9 proc. Analitycy banku centralnego oceniają, że w przyszłym roku inflacja wyniesie średnio ponad 4 proc. W kolejnym ma pójść w dół, ale będzie nieco powyżej celu banku centralnego (wynoszącego 2,5 proc.). W poprzednich dwóch edycjach projekcji – z lipca i marca – spodziewano się, że inflacja w 2028 r. będzie nieznacznie poniżej celu. ©℗



Źródło: NBP RM ©℗

eprasa.pl 07e1667bc0



FOT. ARTUR WIDAK/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

W Krzemowych Dokach, wzdłuż ujścia rzeki Liffey, stoją gmachy Google'a, Mety, Apple'a i Microsoftu. Widok od strony ulicy Barrow, Dublin, 14 września 2026 r.

Między big techami a Rosją

Irlandia się obawia, że Rosjanie mogą zniszczyć kable podmorskie, którymi są przesyłane dane między Europą a USA. Ich uszkodzenie poważnie zakłóciłoby funkcjonowanie państw NATO

Maria

Wiśniewska

W połowie października Dáil, niższa izba irlandzkiego parlamentu, poparła projekt znoszący mechanizm „triple lock", który określa zasady udziału żołnierzy w misjach zagranicznych. Dotychczas wysłanie za granicę kontyngentu liczącego ponad 12 tys. osób wymagało zgody rządu, parlamentu i Rady Bezpieczeństwa ONZ, a tym samym także Rosji i Chin. – Żaden inny kraj na świecie nie ma takiego mechanizmu. Żaden inny kraj nie pozwala, by inne państwo lub światowe mocarstwo decydowało za niego – mówiła tuż przed głosowaniem minister obrony Helen McEntee. Nowe przepisy czekają jeszcze na zgodę Senatu i podpis prezydenta. Jeśli wejdą w życie, o wysłaniu żołnierzy za granicę będzie decydować rząd, a Dáil będzie zatwierdzać kontyngenty liczące więcej niż 50 żołnierzy.

Irlandia to nie druga Finlandia

Planowana zmiana nie oznacza, że Irlandia chce porzucić pielęgnowaną od dekad politykę neutralności. Dublinowi zależy na tym, by jego misje pokojowe nadal trafiały w najbardziej zapalne punkty świata. To wizytówka irlandzkiej polityki zagranicznej. O dołączeniu do NATO na razie nie ma mowy – nie chcą tego ani władze, ani tym bardziej sami obywatele. We wrześniowym badaniu Ipsos 75 proc. Irlandczyków opowiedziało się za utrzymaniem dotychczasowego modelu.

Poważnie dyskutuje się jednak o tym, że kraj nie dysponuje zasobami pozwalającymi mu samodzielnie zadbać o własne bezpieczeństwo, i że trzeba to zmienić. – Wiele osób zakładało dotąd, że gdyby coś się wydarzyło, pomogliby nam Brytyjczycy, Amerykanie czy Francuzi – mówi Barry Colfer, dyrektor Instytutu Spraw Międzynarodowych i Europejskich (IIEA) w Dublinie. – Rząd zdaje sobie sprawę z tego, że musi wziąć na siebie więcej. Nie znaczy to od razu, że zostaniemy drugą Finlandią – to się nie wydarzy. Jednak Irlandia bardziej na serio traktuje odpowiedzialność za wspólne bezpieczeństwo Europy – dodaje.

Do nadrobienia jest dużo: kraj przeznacza na obronność ok. 0,2 proc. PKB, najmniej w całej Unii Europejskiej. Jego siły zbrojne liczą 7,5 tys. żołnierzy. Irlandczycy nie mają czołgów ani myśliwców, a ich marynarka wojenna składa się z zaledwie ośmiu okrętów patrolowych, ale z powodu niedoborów kadrowych wykorzystywane są tylko cztery. Brakuje nawet wojskowego systemu radarowego do monitorowania przestrzeni powietrznej. Pierwszy został zamówiony od francuskiego koncernu Thales, ale na dostawę trzeba czekać co najmniej do końca 2027 r. Gdy Dublin zaoferował Ukrainie dostawę 27 lekkich wozów opancerzonych, Wołodymyr Zełenski odrzucił propozycję, tłumacząc, że koszty przywrócenia ich do stanu używalności przewyższałyby korzyści, a fundusze lepiej wydać na rozwój systemów bezzałogowych.

Rosja poza radarem

Tak skromne zasoby wojskowe to w dużej mierze konsekwencja priorytetów. W ciągu jednego pokolenia Irlandia przekształciła się z biednego, konserwatywnego kraju w europejskie centrum amerykańskich gigantów technologicznych, których przyciągnęły tam niski CIT i anglojęzyczne, dobrze wykształcone kadry. Dziś jest ona drugim krajem w UE pod względem PKB na mieszkańca (po Luksemburgu). Jako kraj neutralny, a do tego wyspiarski, nie odczuwała bezpośredniego zagrożenia dla swojego bezpieczeństwa. A już na pewno uwagi irlandzkich strategów nie zaprzątała oddalona o tysiące kilometrów Rosja. Po inwazji na Ukrainę i kolejnych atakach na infrastrukturę krytyczną podejście Dublina zaczęło się jednak zmieniać. Władze dostrzegły, że neutralność wojskowa i położenie geograficzne nie eliminują ryzyka działań hybrydowych czy ataków na podmorską infrastrukturę. – Kilka lat temu nikt nie uznałby Rosji za problem, ale Putin stawał się coraz bardziej agresywny. Dziś zagrożenie nie dotyczy już tylko Ukrainy czy nawet kontynentalnej Europy, lecz potencjalnie także nas – mówi osoba z kręgów rządowych. To, że neutralna Irlandia nie jest nietykalna, pokazała wizyta Zełenskiego w Dublinie w grudniu 2025 r. W pobliżu jego trasy przelotu pojawiło się kilka niezidentyfikowanych dronów wojskowych. Ówczesny premier Micheál Martin ocenił, że prawdopodobnie stała za tym Moskwa.

Sojuszniczka Doliny Krzemowej

W zrewitalizowanej dzielnicy portowej Dublina bije cyfrowe serce kontynentu. W Krzemowych Dokach, wzdłuż ujścia rzeki Liffey, stoją gmachy Google'a, Mety, Apple'a i Microsoftu. W godzinach szczytu okoliczne ulice przemierzają młodzi informatycy z korporacyjnymi smyczami na szyjach, przybyli ze wszystkich zakątków świata. Obecność technologicznych gigantów zapewnia Irlandii miliardowe wpływy do budżetu. Reszcie Europy – znacznie mniej. Jeśli w Polsce kupujemy np. miejsce w chmurze Google'a czy zamawiamy reklamę na Instagramie, to duża część podatków od tych usług ostatecznie trafia do Irlandii.

Dublin chce, by tak pozostało. Irlandzkie władze od lat torpedują w Brukseli inicjatywy zmierzające do wprowadzenia europejskiego podatku cyfrowego od przychodów gigantów z USA. Pokazały to np. negocjacje unijnego budżetu na lata 2028–2034. Irlandia, sprawująca w tym półroczu przewodnictwo w Radzie UE, pominęła w projekcie propozycję nowej daniny. Minister ds. europejskich Thomas Byrne argumentował, że nie byłoby pewności, czy przyniosłaby ona oczekiwane wpływy. Decyzja spotkała się z krytyką części europosłów, którzy zarzucają Irlandii przedkładanie interesów amerykańskich koncernów nad potrzeby Wspólnoty.

Podobne głosy nasiliły się w październiku po zorganizowanym przez irlandzką prezydencję dublińskim szczycie International AI Summit. Na scenie obok unijnych komisarzy brylowa- ▷

eprasa.pl 07e1667bc0

Irlandia przeznacza na obronność ok. 0,2 proc. PKB, najmniej w całej Unii Europejskiej. Nie ma czołgów ani myśliwców, a jej siły zbrojne liczą 7,5 tys. żołnierzy

ły najważniejsze postacie Doliny Krzemowej, w tym szef Microsoftu Brad Smith, dyrektorka finansowa OpenAI Sarah Friar i twórca Google'a DeepMind Demis Hassabis, którzy lobbowali za poluzowaniem unijnych przepisów o ochronie danych na potrzeby rozwoju sztucznej inteligencji. – Lista prelegentów szczytu to same znane twarze z Doliny Krzemowej. Jasne jest, czyje interesy forsuje rząd na tym wydarzeniu – komentował Paul Murphy, irlandzki deputowany z lewicowej partii People Before Profit–Solidarity. Niedługo potem Dublin przedstawił propozycje zmian w Digital Omnibus, pakiecie zmian mających na celu uproszczenie i uporządkowanie regulacji dotyczących AI.

Najsłabsze ogniwo Europy

Kraj, który stał się jednym z najważniejszych węzłów gospodarki cyfrowej, odgrywa również szczególną rolę w zabezpieczaniu infrastruktury komunikacyjnej. Przez wyłączną strefę ekonomiczną Irlandii przebiega ok. 75 proc. kabli podmorskich łączących Europę z Ameryką. Sieci te służą do transferu ogromnej liczby danych cyfrowych potrzebnych do obsługi amerykańskich korporacji technologicznych, które mają na wyspie swoje europejskie siedziby.

21 października „The Telegraph" opublikował wyniki śledztwa dziennikarskiego, według których Kreml wykorzystuje kutry rybackie do mapowania tras światłowodów po europejskiej stronie Oceanu Atlantyckiego. Analiza danych satelitarnych z prawie pięciu ostatnich lat ujawniła ponad 500 incydentów, w których łodzie poruszały się z minimalną prędkością albo zatrzymywały się nad łączami telekomunikacyjnymi. Na trasach magistral w pobliżu Irlandii kilka razy pojawił się też rosyjski statek szpiegowski Jantar. Okręt ten dysponuje technologią pozwalającą m.in. na przechwytywanie przesyłanych danych i rozmieszczanie ładunków wybuchowych.

Instytut Spraw Międzynarodowych i Europejskich ostrzega, że w razie otwartego konfliktu z NATO Rosja mogłaby poważnie zakłócić funkcjonowanie państw Sojuszu bez bezpośredniego ataku na ich terytorium. Uszkodzenie kluczowych kabli mogłoby ograniczyć łączność transatlantycką, utrudnić część operacji wojskowych i zablokować działanie usług finansowych.

Państwa NATO z niepokojem przyglądają się tej luce w systemie bezpieczeństwa. Frustrację wzbudza zwłaszcza to, że choć Irlandia zarabia miliardy na podatkach od usług cyfrowych świadczonych w całej Europie, odpowiedzialność za ochronę infrastruktury, na której zbudowała swoje bogactwo, przerzuca na innych. W 2022 r. ówczesna wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej ds. cyfrowych Margrethe Vestager nazwała Irlandię „słabym ogniwem" w unijnej obronie. Gdy w 2025 r. prezydent Irlandii Michael D. Higgins skrytykował NATO za „wojenny stan umysłu" i uleganie „militaryzmowi", na wschodniej flance zawrzało. Były prezydent Estonii Toomas Hendrik Ilves wypomniał Irlandczykom, że oskarżają innych o militarne zapędy, a sami ukrywają się za plecami Wielkiej Brytanii i floty Sojuszu. – Czy oni mają jakąkolwiek samorefleksję? Zastanowili się nad tym, czy w ogóle wypada im się wypowiadać, skoro sami są beneficjentami bezpieczeństwa domyślnie zapewnianego im przez NATO? – pytał estoński polityk.

Zmiany w żółwim tempie

Od tego czasu w Dublinie nastąpiła korekta w podejściu do bezpieczeństwa. – Zagrożenia dotyczą nas tak jak wszystkich innych – powiedziała irlandzka minister spraw zagranicznych Helen McEntee tuż przed objęciem prezydencji w Radzie UE. Zmiany nie obejmą tylko usprawnienia misji pokojowych. Dublin przygotowuje się również na scenariusz, w którym sam stałby się celem ataku. W lutym rząd opublikował pierwszą w historii kraju strategię bezpieczeństwa morskiego.

Irlandia nadal będzie jednak w dużym stopniu polegać na współpracy z Wielką Brytanią, Francją i innymi partnerami w Europie. W marcu Dublin i Londyn podpisały zaktualizowany pakt obronny, który skupia się na ochronie podmorskiej infrastruktury krytycznej. Irlandczycy zacieśnili też relacje z NATO, które dostarcza im danych wywiadowczych o rosyjskich zagrożeniach. W przyszłym roku na wyspę dotrą zakupione u Francuzów pierwsze detektory obiektów podwodnych.

Choć bezpieczeństwo to jedno z trzech haseł irlandzkiej prezydencji, w przedstawionym przez nią projekcie kompromisu budżetowego unijne wydatki na wspólną obronność zostały obcięte aż o 13 proc. względem pierwotnego planu Komisji. – Irlandzkie władze powoli się budzą, ale rozmowy toczą się w żółwim tempie. Nikt nie chce wykonywać gwałtownych ruchów – słyszymy w unijnych instytucjach. Ambicje wojskowe wyspiarzy są skromne. Rząd chwali się, że w ciągu najbliższych pięciu lat wyda na zakupy sprzętu 1,7 mld euro, o 55 proc. więcej względem wcześniejszych planów. To jednak nadal bardzo niskie kwoty. Dla porównania: polski budżet wojskowy na przyszły rok to niemal 200 mld zł. ©℗



Przyjaciel naszych nieprzyjaciół

Świat zachodnich służb wywiadowczych doświadczył potężnego tąpnięcia. Były szef niemieckiej BND zaczął świadczyć „usługi konsultingowe" klientom, którym nie po drodze z Zachodem

Mariusz

Janik

„Jest 8.58 rano we wtorkowy poranek (6 października – red.), kiedy zamaskowani policjanci wyprowadzają starszego dżentelmena przez drzwi jego zbudowanego z cegły domu. Założył białą koszulę pod czarną bluzę, siwe włosy zaczesał na jedną stronę. Wyprostowany, bez kajdanek, na zewnątrz spokojny, mężczyzna idzie do czarnego policyjnego minibusa. August Hanning, były szef służb wywiadowczych BND, został aresztowany" – opisywał tygodnik „Der Spiegel" zatrzymanie weterana rodzimych służb.

Gdy Hanning wsiadał do auta, druga ekipa zatrzymała jego byłego szefa personelu – w mediach identyfikowanego jako Manfred D. „Ustalenia wskazują, że przez wiele lat Manfred D. dostarczył Hanningowi w sumie ok. 2 tys. dokumentów, z których wiele zawierało informacje tajne, do użytku tylko przez Federalną Służbę Wywiadowczą" – poinformowała prokuratura. D. wykonywał tę usługę „w zamian za wynagrodzenie". – Obaj prowadzili sklepik z informacjami wywiadowczymi – skwitował na portalu X Anton Szechowcow, dyrektor wiedeńskiego Centre for Democratic Integrity.

Nikt nad Renem nie ma wątpliwości: tu nie chodzi o prostacką korupcję. Zarzuty postawione Hanningowi obejmują szpiegostwo oraz zdradę stanu. „Świat służb jest bogaty w skandale i skandaliki. Jednak oskarżenia przeciw Hanningowi mają inny wymiar" – pisze „Der Spiegel". Bo też klienci oraz przyjaciele byłego szefa BND to osobliwa menażeria.

Niepozorny szef i jego prawa ręka

„Cechą, która czyni z człowieka dobrego oficera służb wywiadowczych, jest to, że nie zwraca na siebie uwagi" – credo Augusta Hanninga przytacza piszący o aresztowaniu hiszpański „El Pais".

eprasa.pl 07e1667bc0



FOT. MICHAEL KAPPELER/DPA/EPA/PAP

August Hanning, były szef służb wywiadowczych BND

I wygląda na to, że jego autor żył zgodnie z tym mottem. Nawet mieszkanie w Nordwalde i dom z cegły nie są tu przypadkowe: były szef niemieckiego wywiadu urodził się w tej niewielkiej miejscowości w 1946 r., a jego ojciec prowadził w niej dwie cegielnie.

Inna sprawa, że Hanning wyrwał się stąd jako nastolatek, choć niewiele zapowiadało karierę, jaką miał zrobić. Skończył studia prawnicze, kilka lat przepracował w administracji gabinetu kanclerza Helmuta Schmidta i w latach 80. wylądował w przedstawicielstwie RFN we wschodnim Berlinie. Prawdopodobnie odpowiadał tam za wyciąganie zza krat dysydentów aresztowanych przez Stasi. Wraz z upadkiem muru Hanning przeprowadza się do Urzędu Kanclerza Federalnego, trafiając do komórek urzędu odpowiedzialnych za pracę służb wywiadowczych. Jeszcze za rządów Helmuta Kohla zostaje szefem departamentu i koordynatorem federalnych służb wywiadowczych.

Ale jego kariera miała rozkwitnąć przy Gerhardzie Schröderze. W grudniu 1998 r. zostaje szefem Bundesnachrichtendienst, BND, a jego prawą ręką zostaje Manfred Dankesreiter. Wydaje się, że to dobry moment dla służb: kilka miesięcy wcześniej Frakcja Czerwonej Armii ogłasza definitywne zakończenie walki i rozwiązanie, Rosja jest w zapaści schyłkowych rządów Jelcyna, zaś Fukuyama ogłasza koniec historii. Ale spokój trwa niecałe trzy lata – do upadku wież WTC 11 września 2001 r. Wbrew pozorom Niemcy stają się jednym z kluczowych pól bitwy z terroryzmem: za ataki 11 września odpowiadała w dużej mierze „hamburska komórka" Al-Ka'idy, grupka radykałów, którzy poznali się w Hamburgu. Tam w latach 90. studiował i pracował lider komanda z 11 września Muhammad Ata.

Choć przegapienie „hamburskiej komórki" nie jest formalnie przewiną BND, to w nowych realiach wywiad musi się wykazać, zwłaszcza że podlegli Hanningowi agenci uchodzą za dobrze zorientowanych w realiach muzułmańskiego świata. Z mieszanymi rezultatami – z jednej strony, jak się wydaje, struktury radykałów spod znaku Al-Ka'idy idą w Niemczech w rozsypkę (co nie oznacza, że w przyszłości nie będą się pojawiać samotne wilki lub terroryści, którzy wymknęli się z obławy) i długo nie dochodzi nad Renem do spektakularnych ataków terrorystycznych. Z drugiej Hanning jako szef BND zaliczył znaczącą wpadkę, związaną z pewnym Irakijczykiem, który w 1999 r. wylądował w Niemczech z turystyczną wizą i natychmiast poprosił o azyl. Irakijczyk ów – podczas przesłuchań prowadzonych w latach 1999–2001 nadano mu pseudonim Curveball (podkręcona piłka – red.) – dowodził, że brał udział w pracach nad bronią masowego rażenia zorganizowanych przez reżim Saddama Husajna. I mimo wielu wątpliwości swoich podwładnych w grudniu 2002 r. Hanning napisał w liście do ówczesnego szefa CIA George'a Teneta, że informacje przekazane przez Curveballa „oceniono jako wiarygodne i przekonujące". Ówczesnej ekipie w Białym Domu nie trzeba było dwa razy powtarzać – kilka miesięcy później USA wkroczyły do Iraku.

W 2005 r. Hanning przenosi się do federalnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie zostaje jednym z zastępców ministra Wolfganga Schäublego (wraz z nim do resortu trafia Dankesreiter). Nie wydaje się, by zostawiał za sobą wyjątkowo bogatą karierę: „Historical Dictionary of German Intelligence" Jeffersona Adamsa wspomina Hanninga zaledwie raz – w kontekście siedziby BND, którą przed wieloma laty ulokowano na dalekich obrzeżach Monachium. „Hanning nazwał to błędem przy narodzinach" – zauważa Adams, sugerując, że to Hanning przeforsował kosztowny pomysł przeprowadzenia BND do Berlina. W 2009 r. kariera 63-letniego weterana służb dobiega końca, wraz z decyzją o przejściu na emeryturę.

Agenta życie po życiu

Mało kto pogardziłby taką emeryturą: to ok. 11 tys. euro miesięcznie. Najwyraźniej jednak było to za mało; niemal natychmiast po przejściu w stan spoczynku pojawiły się firmy GSC4 oraz Hanning Consult – szyldy, pod którymi były szef BND miał działać do początku października tego roku. Z wydatną pomocą Dankesreitera, który miał dostarczać byłemu pryncypałowi dokumenty aż do 2022 r. włącznie. Magazyn „Correctiv" twierdzi, że pierwsza z firm, GSC4, wykazała w 2025 r. przychody rzędu 2,2 mln euro.

Przyjmuje się, że spora część usług konsultingowych świadczonych przez byłego szefa BND dotyczyła pośrednictwa w kontaktach przy zakupach nowych technologii dla niemieckiej policji. Ale to był ledwie wycinek działalności. Co robił z dokumentami Manfreda D.? Cóż, śledczy w chwili aresztowania ujawnili, że dochodzenie krąży wokół „raportu przygotowanego dla służb wywiadowczych obcego państwa" (co do którego nie ma też pewności, czy został przez klienta odebrany). Wśród zarzutów jest też „utrzymywanie intensywnego kontaktu" z członkiem innych zagranicznych służb wywiadowczych.

Te enigmatyczne opisy rozszyfrowuje m.in. „Der Spiegel": według tygodnika raport zamówili Azerowie, a ów znajomek od „intensywnego kontaktu" to emerytowany chiński generał Wang Jianzheng, którego Hanning miał poznać jeszcze w czasach pracy w Berlinie Wschodnim (Chińczyk służył tam w latach 1987–1990, potem był attaché wojskowym ambasady ChRL w zjednoczonych Niemczech). Wang i były szef niemieckiego wywiadu pokazywali się publicznie razem jeszcze niedawno – w 2023 r. Chińczyk opublikował w ojczyźnie książkę z wywiadami z Gerhardem Schröderem, w której dziękuje swojemu „przyjacielowi" Hanningowi za pomoc przy jej pisaniu.

Dziennik „Die Welt" opisał z kolei list, jaki Hanning miał wysłać w sierpniu do obecnego szefa BND Martina Jägera, zawierający protest przeciw toczącemu się jakoby śledztwu w sprawie współpracy „konsultanta" z rosyjskimi służbami, co sugerowałoby, że lista potencjalnych kontrahentów i przyjaciół jest jeszcze dłuższa.

Bo też Hanning preferował raczej aktywną emeryturę. Tajemnicą nie jest, że wspierał rosyjskiego oligarchę Olega Deripaskę w jego batalii sądowej toczonej kilkanaście lat temu w Wielkiej Brytanii (związanej z udziałami w zakładach metalurgicznych w Rosji), a także służył wsparciem i poradami władzom Kazachstanu. Na Łotwie wylądował w radzie nadzorczej PNB Banka; banku, w którym prawdopodobnie prano pieniądze rosyjskich oligarchów – bank w końcu upadł, a Łotysze oskarżają Hanninga o zaniedbanie obowiązków. Brytyjska prywatna wywiadownia G3 zatrudniła go jako doradcę ds. Rosji i krajów byłego ZSRR. Szwajcarzy postawili go na czele analogicznej firmy – Pluteos.

To ostatnia z wymienionych firm sprawiła, że finalnie weteran służb „zwrócił na siebie uwagę". Spółka zależna Plutoesa – System 360 – została wplątana w 2023 r. w głośny skandal: milionerka z Hamburga, dziedziczka sieci restauracji, Christina Block, wynajęła grupę izraelskich najemników, którzy na jej zlecenie „odbili" z rąk byłego męża ich dzieci. Akcja zorganizowana w Danii, ojczyźnie byłego małżonka, miała drastyczny przebieg: najemnicy pobili go do nieprzytomności, a dzieci zapakowano do samochodu i przewieziono do Hamburga. A ponieważ wygląda na to, że za rekrutację Izraelczyków odpowiadała System 360, niemieccy śledczy postanowili przeszukać biuro Hanninga. I tam natknęli się na dyski z papierami od Manfreda D.

Niemiecka perfekcja, niemiecka fuszerka

Gdyby chodziło o służby państwa o mniejszym znaczeniu geopolitycznym, skandal miałby co najwyżej lokalny charakter. Jednak BND to największy wywiad w UE (w Europie ustępuje skalą działań tylko brytyjskiemu), filar współpracy transatlantyckiej, z budżetem przekraczającym 1 mld euro (zwiększanym systematycznie od czasu agresji Rosji na Ukrainę). „Obecnie BND dorobiło się reputacji agencji wyrafinowanej technologicznie, efektywnej w działaniach na Bliskim Wschodzie i Azji Centralnej, znanej z pogłębionej współpracy z sojuszniczymi służbami wywiadowczymi. Położenie Niemiec w centrum Europy czyni z nich zarówno priorytetowy cel rosyjskich służb wywiadowczych, jak i kluczowy punkt tranzytowy dla współpracy wywiadowczej" – konkludują analitycy portalu analitycznego Dir Journal, który w ułożonym przez siebie rankingu najsilniejszych służb wywiadowczych świata umieścił BND na ósmej pozycji.

Niemcy w ciągu siedmiu dekad istnienia w obecnym kształcie niewątpliwie mieli na koncie sukcesy. W czasie zimnej wojny wraz z Amerykanami współzarządzali choćby założoną w Szwajcarii spółką Crypto AG, która sprzedawała urządzenia szyfrujące – biada wywiadom, które się w niej zaopatrywały. W dobie wojny z terroryzmem (czyli w dużym stopniu za czasów Hanninga) dostarczali nierzadko kluczowych informacji – Indie ostrzegli przed spektakularnym zamachem terrorystycznym, Amerykanom dostarczali informacji z Bagdadu, które pozwoliły na błyskawiczny pochód US Army przez państwo Saddama (i to mimo, że rząd w Berlinie do interwencji się nie przyłączył), z czasem stali się prawdopodobnie najbardziej zaufanym mediatorem w rozmowach między Izraelczykami a ich przeciwnikami z Hamasu i Hezbollahu, negocjując kilkakrotnie wymianę więźniów czy uwolnienie zakładników.

Jednak ostatnie lata przyniosły BND sporo wstydu. Dokumenty ujawnione przez Edwarda Snowdena zawierały m.in. informacje o tym, że Amerykanie podsłuchują kanclerz Angelę Merkel, co najwyraźniej umknęło uwadze Niemców, którzy z kolei – wraz z tymi samymi „słuchaczami" zza Atlantyku – inwigilowali m.in. Francuzów oraz Komisję Europejską. W 2022 r. BND zignorowało ostrzeżenia aliantów dotyczące nadchodzącego ataku Putina na Ukrainę. Ba, ówczesny szef BND Bruno Kahl wieczorem 23 lutego 2022 r. wylądował z wizytą w Kijowie, mimo że w wywiadowczym „eterze" wrzało od informacji, że Kreml wydał rozkaz ataku.

A jesienią tego samego roku aresztowano pierwszego od czasów zimnej wojny „kreta" w BND: analityk Carsten L. został oskarżony o sprzedawanie informacji Rosjanom (miał na tym zarobić ok. 400 tys. euro). Kahl we wspomnieniach wydanych po odejściu z agencji opisał sprawę jako „szok dla agencji", ale też zarówno on, jak i inni przedstawiciele niemieckiego wywiadu bagatelizowali sprawę, dowodząc, że analityk – oraz przewożący wyniesione materiały niemiecki biznesmen, urodzony jednakowoż w Rosji – wynosił z agencji raczej niewiele znaczące informacje. Proces Carstena L. wciąż się toczy.

Narazili wszystkich

Skandalu z byłym szefem BND nie da się jednak zbagatelizować. „Sprawa ▷

eprasa.pl 07e1667bc0

Hanninga przetacza się falą wstrząsów przez światek służb bezpieczeństwa i wywiadu" – podsumowuje, zwykle powściągliwa Agencja Reutera. – Totalna katastrofa, bardzo poważna – podsumował w rozmowie z nią anonimowy „przedstawiciel służb bezpieczeństwa".

Nie dość, że ledwie kilka dni przed aresztowaniami w Niemczech obecny szef BND przestrzegał, że Rosja toczy z Niemcami hybrydową wojnę, to jeszcze teraz wszyscy sojusznicy próbują ustalić, jakie ich dane i informacje mogły wylądować na biurku byłego szefa federalnego wywiadu. Co prawda, z przecieków ze śledztwa, które trafiają do niemieckich mediów, wynika, że w grę wchodzą nie tyle materiały stricte wywiadowcze, ile raczej ich podsumowania przygotowywane dla urzędu kanclerskiego, ale to nie umniejsza zamieszania.

Jednym z „wstrząsów wtórnych" afery w BND jest też wznowienie dyskusji o tym, co robią politycy i urzędnicy po przejściu na emeryturę. – Pytanie, jakie stanowiska i działalności biznesowe powinny być dostępne dla wysokich rangą obecnych i byłych pracowników państwowych agencji bezpieczeństwa – rzucił minister kraju związkowego Hamburg Andy Grote. – Zwyczaj angażowania się byłych dygnitarzy w mętne praktyki konsultingowe i sprzedawania się temu, kto da więcej, pomimo otrzymywania naprawdę wysokich emerytur, to schemat zbyt często spotykany w Niemczech – twierdzi szef berlińskiego Global Public Policy Institute Thorsten Benner. – Nie powinniśmy im pozwalać na usługi konsultingowe, wyprzedaż doświadczenia, wiedzy czy kontaktów – dodaje.

Oczywistym przykładem jest kariera byłego kanclerza Gerharda Schrödera w Rosji – wygląda na to, że dawny lider socjaldemokracji z niej nie rezygnuje: zaledwie kilka dni przed aresztowaniem Hanninga wylądował w radzie nadzorczej spółki Hyperglobus, zarządzającej rosyjską siecią hipermarketów Globus. A w apogeum skandalu pofatygował się na urodzinowe przyjęcie Władimira Putina, co z oburzeniem skomentował nawet obecny kanclerz Niemiec Friedrich Merz.

Najważniejsze jednak pytania wiążą się z tym, jak teraz będzie wyglądać współpraca niemieckiego wywiadu z partnerami z innych służb. Rzecz jasna, te milczą i trudno się dziwić. Ale ich byli pracownicy nie owijają w bawełnę. – Jeśli nasz sojusznik dostaje notki z danymi wywiadowczymi, wiele z nich pochodzi od nas. Oczywiście Niemcy mieli też pewnie wiele materiałów od Francuzów i zapewne sporo od Brytyjczyków – mówiła na antenie amerykańskiej sieci NPR Margaret Henoch, przez ćwierć wieku pracowniczka CIA. – Jestem pewna, że dostawali informacje z całego świata i teraz narazili wszystkich – ucięła.

Trudno oczekiwać, by po tym wszystkim wywiady innych zachodnich państw przeszły nad sprawą do porządku dziennego. Współpracy z BND nikt zapewne nie zerwie, ale Niemcy mogą poznawać ustalenia partnerów z innych państw jako ostatni, ot tak na wszelki wypadek. I rychło z tego kryzysu nie wyjdą, bo odbudowa zaufania w tym światku trwa nie lata, ale dekady. ©℗

Społeczeństwo



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Żyjemy obok, nie razem

W polskim modelu imigracji przeważa aktywność zawodowa cudzoziemców. Dzięki temu poziom ich asymilacji ekonomicznej jest bardzo wysoki, ale społecznej i kulturowej – wręcz przeciwnie

Piotr

Wójcik

Zamieszki we Francji wygenerowały niespecjalnie oryginalne, ale powracające co jakiś czas tezy, według których należy niezwłocznie ograniczyć imigrację do Polski, gdyż to właśnie przybysze spoza Europy obecnie demolują Paryż i inne miasta zachodu kontynentu. Inaczej mówiąc, Polska, otwierając szeroko drzwi dla pracowników z innych rejonów świata, sama prosi się o podobne kłopoty. Oczywiście tego typu analizy, sprowadzające wielowymiarowe problemy społeczne nad Sekwaną do imigracji, nic nie mówią o prawdziwej sytuacji we Francji. Mimo to warto się pochylić nad pytaniem, czy polski model imigracji zarobkowej do kraju jest ryzykowny i może w przyszłości wygenerować problemy.

Przed Hiszpanią

Dane wskazują na to, że Polska nadal należy do krajów o bardzo niskim poziomie imigracji. W 2024 r. Warszawa raportowała do Eurostatu 300,5 tys. imigrantów przebywających w kraju ponad 12 miesięcy, przy czym ponad jedną czwartą (82,6 tys.) stanowili obywatele innych państw członkowskich. W ten sposób Polska znajduje się na szóstym miejscu od końca w UE pod względem odsetka stałych imigrantów. Nad Wisłą jest ich zaledwie 8,2 na 1 tys. mieszkańców, czyli poniżej 1 proc. Nie licząc bardzo małych państw członkowskich, takich jak Malta czy Luksemburg, najwyższy odsetek imigrantów zanotowano w Hiszpanii (26,4 os. na 1 tys.), w której też przebywa ich najwięcej nominalnie – niespełna 1,3 mln.

Dane wykazywane przez kraje Unii Europejskiej są zbierane na przeróżne sposoby, które nie zawsze są ze sobą kompatybilne. Proporcjonalnie mniej imigrantów od Polski (poniżej 0,5 proc.) zaraportowały Włochy, gdzie nominalnie przebywa ich zaledwie 451 tys. To zaskakujące, zważywszy na fakt, że Włochy to akurat pierwsze państwo, które przychodzi na myśl, gdy pojawia się temat kryzysu migracyjnego. Nad Tybrem nie zarejestrowano również żadnego imigranta o nieznanym kraju urodzenia. Warszawa przyznała,

eprasa.pl 07e1667bc0

że nie ma wiedzy o miejscu narodzenia 8,4 tys. osób przebywających nad Wisłą. W Niemczech imigrantów bez sprecyzowanego miejsca przyjścia na świat zanotowano 77 tys., a w Austrii 2,4 tys.

Niski wynik Italii nie jest rezultatem tylko reemigracji do Niemiec, Holandii i innych państw Europy Zachodniej. Włochy są od nich biedniejsze statystycznie, ale północ tego kraju należy do najzamożniejszych regionów świata. Według raportu rocznego włoskiego ministerstwa polityki społecznej w 2024 r. na krajowym rynku pracy jest aż 2,5 mln osób spoza Unii, czyli pięć razy więcej niż raportowana liczba obcokrajowców. Rzym po prostu niechętnie legalizuje pobyt imigrantów spoza UE. Madryt wybrał inną ścieżkę i stara się normować pobyt części nielegalnych imigrantów, w wyniku czego znalazł się na cenzurowanym globalnej prawicy, ale przynajmniej dysponuje bardziej przejrzystym przeglądem sytuacji.

Autorzy analizy Eurostatu wskazują, że Warszawa i Bratysława nie wliczają do swoich raportów dla UE obywateli Ukrainy objętych ochroną w związku z pełnoskalową agresją Rosji. W przypadku Polski to uzasadnione, gdyż otrzymali oni numer PESEL i pełny dostęp do krajowego systemu społecznego, więc są traktowani właściwie na równi z ludnością krajową. Według danych Eurostatu w sierpniu 2026 r. nad Wisłą przebywało 939 tys. osób korzystających z ochrony czasowej, co nominalnie było drugą najwyższą liczbą w Europie. Za Odrą zamieszkuje 1,3 mln Ukraińców. Zaskakująco niewielu jest ich za to nad Sekwaną i nad Tybrem – po ok. 50 tys. Po doliczeniu uchodźców z Ukrainy liczba imigrantów nad Wisłą wyniosłaby 1,24 mln, co stanowiłoby nominalnie drugi najwyższy wynik w UE, po Hiszpanii. Procentowo to nawet więcej – 34 osoby na 1 tys. mieszkańców, czyli 3,4 proc. (czwarte miejsce w UE – za Maltą, Cyprem i Luksemburgiem).

Ratunek demografii

Powyższe dane obejmują tylko imigrację powyżej 12 miesięcy. W większości w grę wchodzi pobyt stały. Tymczasem duża część imigracji zarobkowej nad Wisłą opiera się na pobytach czasowych, do dwóch lat. Według danych Urzędu ds. Cudzoziemców obecnie z zezwolenia na pobyt czasowy w Polsce korzysta 726 tys. osób. To wciąż jednak nie wszystko, gdyż istnieje istotny obszar rynku pracy, który polega na imigracji krótkoterminowej, liczonej często w miesiącach. Mowa o zatrudnieniu na podstawie oświadczenia o powierzeniu pracy cudzoziemcowi, którą można wykonywać na podstawie wizy (maksymalnie do roku) lub ruchu bezwizowego ze strefą Schengen (maksymalnie 90 dni w okresie 180-dniowym). Dokładne oszacowanie liczby obcokrajowców przebywających w naszym kraju jest więc trudne, gdyż form pobytu i zatrudnienia jest kilka, a wśród imigrantów zarobkowych występuje intensywna rotacja.

W lipcu Główny Urząd Statystyczny przedstawił wyniki badania eksperymentalnego, które opierało się na analizie tzw. śladów życia. Mowa o osobach aktywnych przynajmniej w dwóch rejestrach administracyjnych – w tym rejestrze PESEL – na koniec 2025 r. Przypomnijmy, że według danych unijnych w Polsce przebywa 36,5 mln obywateli, 300 tys. imigrantów powyżej 12 miesięcy oraz 939 tys. uchodźców z Ukrainy, czyli łącznie ponad 37,7 mln ludzi, z czego niespełna 3,5 proc. to cudzoziemcy. Ślady życia wskazują na znacznie większą liczbę mieszkańców. W 2025 r. odnotowano nad Wisłą aktywność 38,8 mln ludzi, co stanowi prawdopodobnie rekord w historii III RP. Cudzoziemcy odpowiadali aż za 2,3 mln, czyli za 6 proc. Obcokrajowcy skutecznie łatają luki wywołane przez kryzys demograficzny, a w szczególności dramatycznie niski wskaźnik dzietności (obecnie to już ledwie 1,1). W porównaniu do 2024 r. cała populacja Polski wzrosła o 40 tys., a sama grupa obcokrajowców odnotowała przyrost aż o 215 tys.

Obcokrajowcy przebywający w kraju w większości mieszkają poza największymi aglomeracjami, co nie dziwi przy rozproszonej sieci osadniczej Polski. W miastach wojewódzkich odsetek cudzoziemców zdecydowanie jednak przekracza średnią dla państwa. W 16 stolicach regionów (według siedzib wojewodów) na koniec 2025 r. żyło 8 mln osób, w tym niemal 1 mln osób spoza Polski. Odsetek cudzoziemców w aglomeracjach wynosi 12,5 proc., czyli dwukrotnie więcej niż w całej Polsce. Dzięki temu w Warszawie mieszka 2,1 mln ludzi, a nie oficjalne prawie 1,8 mln. 100 tys. imigrantów w Krakowie podnosi liczebność dawnej stolicy do 900 tys. We Wrocławiu cudzoziemcy odpowiadają za prawie jedną piątą mieszkańców, dzięki czemu stolica Dolnego Śląska liczy aż ok. 800 tys. zamiast 650 tys.

Na szczeblu województw przodowały dolnośląskie i mazowieckie, gdzie co dziesiąty mieszkaniec to imigrant. Prawie trzy czwarte obcokrajowców to Ukraińcy, którzy przeważali w populacji cudzoziemców w każdym regionie poza Podlasiem.

Asymilacja głównie ekonomiczna

Bardzo wyraźna poprawa polskiej demografii dzięki imigracji nie jest więc tylko teoretyzowaniem, mającym uspokoić przeciwników napływu obcokrajowców, ale niezbitym faktem. Pomimo dramatycznego spadku urodzeń po 1989 r. i kilku fal emigracji Polska utrzymała poziom niespełna 40 mln ludzi. Równocześnie stała się krajem imigranckim na poziomie porównywalnym już do państw Europy Zachodniej, chociaż różniącym się kierunkami napływu ludności i jej specyfiki. Trzy czwarte imigrantów stanowią nacje, które są powszechnie uznawane za bliskie kulturowo. Według badania Polskiego Instytutu Ekonomicznego „Polacy o cudzoziemcach" największą sympatią Polacy darzą obcokrajowców z innych państw UE (obecnie to ok. 75 tys. osób według Urzędu ds. Cudzoziemców). Bardzo chętnie podjęłoby z nimi współpracę 17 proc. respondentów, a 53 proc. raczej chętnie (łącznie aż 70 proc. pozytywnych odpowiedzi). Niechętnych było łącznie tylko 18 proc. (tylko 3 proc. w dużym stopniu). W stosunku do Ukraińców relacja chętnych do niechętnych łącznie wyniosła 65 proc. do 24 proc., a do Białorusinów 49 proc. do 36 proc. W stosunku do obywateli państw Dalekiego Wschodu oraz Azji Środkowej z Kaukazem chętni i niechętni osiągnęli remis. W przypadku Bliskiego Wschodu i Afryki niestety przeważają niechętni – odpowiednio 41 proc. do 44 proc. i 36 proc. do 47 proc.

> Gdyby ludność Polski została zredukowana do 15 mln, to przestępstwa nominalnie spadłyby dramatycznie. Ale chyba nie o to chodzi wszystkim zatroskanym o przyszłość kraju

Także stopień włączenia imigrantów do życia gospodarczego jest bardzo wysoki. Według raportu PIE „Integracja imigrantów z Ukrainy" z grudnia 2025 r. wśród dorosłych Ukraińców zaledwie 16 proc. nie pracuje. Wskaźnik zatrudnienia rzędu ok. 85 proc. jest bardzo wysoki, poza tym wśród biernych zawodowo przeważają kobiety przebywające w Polsce krócej niż cztery lata, więc mowa o uchodźczyniach sensu stricto. Poza tym niemal 300 tys. młodych obywateli Ukrainy uczy się w polskich szkołach, a niespełna 50 tys. studiuje na nadwiślańskich uczelniach.

Integracja populacji znad Dniepru nie przebiega jednak bezproblemowo. Zdecydowanie dominuje ekonomiczny wymiar wejścia w społeczeństwo, który oznacza nie tylko aktywność zawodową, lecz także niezależność finansową, ubezpieczenie w polskim systemie czy posiadanie i rozwój swojej własności. Według badania PIE 60 proc. Ukraińców w Polsce jest zintegrowanych pod względem ekonomicznym. Pod względem kulturowym już tylko 50 proc. Mowa chociażby o posługiwaniu się na co dzień językiem polskim – 90 proc. robi to w miejscach publicznych, 73 proc. w pracy i zaledwie 8 proc. w domu. W porozumiewaniu się między osobami z Ukrainy język polski niemal nie występuje (2 proc.). Jeszcze niższy poziom integracji występuje w wymiarze społeczno-politycznym – jest to tylko 39 proc. Wyraża się to chociażby w niskim odsetku uczestnictwa Ukraińców w grupach ludzi o podobnych zainteresowaniach (18 proc.) oraz nastawionych na wspólne spędzanie czasu (13 proc.).

Istotnym tematem w debacie publicznej są przestępstwa popełniane przez imigrantów. Chociaż dominują wśród nich ludzie w wieku produkcyjnym, którzy są znacznie bardziej skłonni do popełniania przestępstw niż seniorzy i dzieci, nie wyróżniają się oni pod względem stopnia kryminalizacji. Według danych policji w 2025 r. obcokrajowcy stanowili 6 proc. podejrzanych i 4 proc. winnych złamania prawa karnego. Odsetek podejrzanych idealnie pokrywał się więc z udziałem cudzoziemców w populacji Polski. Mimo to na fali społecznego wzburzenia w całej UE nastąpił wzrost deportacji nie tylko nielegalnych imigrantów, lecz także sprawców nieszczególnie groźnych przestępstw. Z Polski deportowano Ukraińca za złowienie suma, a innego za wjazd autem na trakt prowadzący na Morskie Oko. Ten drugi otrzymał pięć lat zakazu wjazdu do strefy Schengen.

Według danych Eurostatu w II kw. 2026 r. Polska deportowała 3 tys. osób i pod tym względem była trzecia w UE – po Niemczech (9 tys.) i Francji (4,5 tys.). Dla porównania w II kw. 2023 r. – czyli pod rządami PiS – deportowano 1,3 tys. Ponad 10 proc. deportowanych znad Wisły stanowili Gruzini, którzy trafili na cenzurowane z powodu aktywności gangów często wywodzących się jeszcze z czasów sowieckich (tzw. wory w zakonie). W UE ich udział w deportacjach wyniósł 5 proc.

Wzrost liczby nakazów wyjazdu z kraju nie jest więc uzasadniony stopniem kryminalizacji imigrantów, tylko naciskiem społecznym wywołanym nagłośnionymi przypadkami występków. Prawica często wskazuje, że imigracja jest szkodliwa z powodu wzrostu samej liczby przestępstw, a nie procentowego wskaźnika kryminalizacji cudzoziemców. Jest jednak oczywiste, że podniesienie liczby ludności kraju powoduje przyrost przypadków łamania prawa. Na tej samej zasadzie można dowodzić, że polityka prodemograficzna prowadzi do kryminalizacji kraju, gdyż wśród większej liczby dzieci w przyszłości znajdzie się więcej przestępców. Gdyby ludność Polski została zredukowana do 15 mln, to przestępstwa nominalnie spadłyby dramatycznie. Ale chyba nie o to chodzi wszystkim zatroskanym o przyszłość kraju.

Polski model imigracji bazuje przede wszystkim na zatrudnieniu. Pod tym względem wyróżniamy się w całej Europie. Według Eurostatu w 2024 r. 70 proc. pierwszych zezwoleń na pobyt w Polsce związany był z podjęciem zatrudnienia. To trzeci wynik w UE po Chorwacji (95 proc.) i Litwie (82 proc.). Wśród dużych krajów UE to wynik zupełnie niespotykany. We Włoszech, Francji, w Niemczech i Hiszpanii odsetek pierwszych legalizacji pobytu, których przyczyną jest praca, znalazł się w przedziale 11–17 proc. Średnia unijna wyniosła 32 proc. Ma to swoje wady i zalety. Dzięki temu Polska niejako wymusza na obcokrajowcach aktywne uczestnictwo w krajowym systemie ekonomicznym. Niestety, pozostałe wymiary asymilacji są zaniedbane. Imigranci w Polsce nie sprawiają problemów kryminalnych czy społecznych, ale żyją niejako obok Polek i Polaków. Nie zawierają trwałych i bliskich relacji towarzyskich, społecznych czy romantycznych. Niestety imigranci wciąż traktują Polskę bardziej jako miejsce pracy, a nie miejsce do życia. ©℗

Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

eprasa.pl 07e1667bc0



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Imigranci to też klienci

Joanna Śliwińska

Potrzebujemy rąk do pracy – to hasło powtarzane przez biznes na tyle długo, że wielu Polaków przyjęło je za pewnik. Tok rozumowania jest taki: skoro imigrant pracuje, to oznacza, że był potrzebny, i gdyby nie przyjechał, toby brakowało jego rąk do pracy. Dla tej narracji bez znaczenia pozostają statystyki pokazujące w wielu powiatach wysokie bezrobocie albo medianę zarobków na poziomie niewiele wyższym niż minimalna krajowa. Weźmy dla przykładu Mławę, ostatnio rozsławioną tym, że 28 proc. mieszkańców to cudzoziemcy, m.in. z Kolumbii i Indonezji. Stopa bezrobocia w powiecie wynosi 7,3 proc., a mediana wynagrodzeń 6582 zł brutto. Tu warto dodać, że ta kwota uwzględnia też wynagrodzenie za nadgodziny, pracę w nocy itp., które są normą w zakładach produkcyjnych.

Na tę narrację nie ma również wpływu to, że pracy nie mogą znaleźć i młodsi (według Eurostatu w ubiegłym roku bezrobocie w grupie do 25. roku życia wynosiło ok. 12 proc.), i starsi. Wystarczy zerknąć na najpopularniejszy polski portal z ofertami pracy, gdzie na ok. 80 tys. ofert adnotacja o „otwartości na pracowników 50+" znajduje się zaledwie przy 3187 ofertach. O braku rąk do pracy będziemy słyszeli niezależnie od rzeczywistego stanu rynku.

Przewidywania demograficzne dla Polski nie są optymistyczne. GUS w „Prognozie ludności na lata 2023–2060" przewidywał ubytek ludności do 2060 r. do 30,4 mln osób, a w wariancie pesymistycznym do 26,7 mln. Obliczenia eksperymentalne z listopada 2025 r. z uwzględnieniem ostatnich spadków wskaźnika dzietności prognozują tę liczbę na 28,4 mln.

Co to oznacza? Między innymi kilka milionów klientów mniej. Mniej osób kupi produkty i usługi, a do tego pozostaną po nich nieruchomości, co zwiększy ich podaż. I to właśnie sektor nieruchomości będzie tym, na którym przemiany demograficzne odbiją się bardzo szybko. Wpływ można było zaobserwować w marcu 2022 r., gdy po napływie uchodźców z Ukrainy stawki czynszów za najem gwałtownie skoczyły, co zwiększyło atrakcyjność nieruchomości jako lokaty kapitału. Jeśli więc będzie następował proces odwrotny, a więc liczba mieszkańców Polski będzie się zmniejszała, mieszkanie na wynajem dobrą lokatą już nie będzie, co przełoży się także na sprzedaż. Owszem, nie wszędzie spadek liczby ludności będzie równomierny, ale przewidywania, że w Warszawie zawsze będzie chciał ktoś mieszkać, zakładają nieustanny dopływ młodych ludzi z prowincji. Problem w tym, że na prowincji tych młodych ludzi też nie będzie za dużo.

Mniej młodych to także mniej ludzi wchodzących w dorosłe życie, którzy potrzebują mieszkania dla siebie. Co więcej, przy TFR 1,1 (Total Fertility Rate – współczynnik dzietności ogółem) coraz częściej będzie się zdarzało, że dzieci będą dziedziczyć nie jedną, tylko kilka nieruchomości i będą chciały je raczej sprzedawać, niż kupować. Czasy, gdy na jedno mieszkanie po babci czyhało po 10 wnuków, będą należały do przeszłości.

Przyjazd cudzoziemców te negatywne dla branży efekty złagodzi, bo skoro zamiast młodych Polaków do największych miast dopływają imigranci, to mieszkanie na wynajem wciąż może się jawić jako korzystna inwestycja. To prowadzi do tego, że naturalnym sojusznikiem całego sektora powiązanego z nieruchomościami w walce o ułatwianie imigracji będą ludzie, którzy już w mieszkania zainwestowali, a więc raczej starsze niż młodsze pokolenie.

Każda osoba, która przyjeżdża do Polski, musi nie tylko gdzieś mieszkać, lecz także coś zjeść, w coś się ubrać, korzystać z telefonu itp. Dodatkowy milion mieszkańców to de facto milion potencjalnych klientów. Znów odwołajmy się do 2022 r. Według raportu PKO BP „Makro Focus: Wpływ uchodźców z Ukrainy na polską gospodarkę" badana społeczność dodała ok. 1,7 pkt proc. do wzrostu konsumpcji.

Z punktu widzenia sprzedażowego nie ma nawet znaczenia pochodzenie pieniędzy, którymi obcokrajowcy dysponują. W przyszłości mogą pochodzić także z transferów socjalnych. Dlatego dana branża nie musi nawet bezpośrednio korzystać z taniej siły roboczej, aby być zainteresowana zwiększoną imigracją.

Zmiany demograficzne to nie tylko mniej klientów, lecz także inni klienci. Coraz większy udział w społeczeństwie będą mieli ludzie starsi, a coraz mniejszy – młodzi. To wpływa również na to, czego w danym społeczeństwie sprzedaje się więcej, a na co popyt jest mniejszy.

Te procesy można było najwcześniej zaobserwować na przykładzie państw azjatyckich, które od dawna borykają się ze zjawiskiem starzenia się społeczeństw. I tak w raporcie Międzynarodowego Funduszu Walutowego „Demographics and Consumption in Asia Toward 2050" (Ando, Hidano, Son, IMF Working Paper 2025/247, listopad 2025 r.) autorzy wskazują, że starzenie się i ubytek osób w średnim wieku obniżają konsumpcję mocniej, niż wynikałoby z samego spadku liczby ludności. Starsi ludzie nie mają potrzeby pogoni za modnymi ubraniami, nowinkami technicznymi, do tego latami wykorzystują przedmioty kupione dawno temu. Struktura ich wydatków jest inna. Raport zwraca uwagę np. na sektor odzieżowy i transport jako te branże, które negatywnie odczują zmiany demograficzne.

Na czele obszarów dotkniętych zmianami demograficznymi wskazywanych przez autorów raportu stoi jednak edukacja. Imigranci to nowi klienci dla szkół wyższych. Nie ukrywają tego polskie uczelnie, jak również sam resort nauki. Wprost ten mechanizm opisał Marcin Kulasek, minister nauki i szkolnictwa wyższego, który w kwietniu 2026 r., odnosząc się do informacji, że na 1,2 mln studentów 100 tys. to cudzoziemcy, i zbliżającego się niżu demograficznego, stwierdził w wypowiedzi dla PAP: „Chcemy, żeby studentów zagranicznych było więcej. Uczelnie potrzebują tych studentów więcej, żeby normalnie funkcjonować, żeby utrzymać się na rynku". Ocenił, że obecna liczba 100 tys. zagranicznych studentów „nie powala", bo w wielu krajach jest to większy odsetek. Polska będzie więc dążyła do jej zwiększenia i jest to odpowiedź na „niewystarczającą liczbę studentów dla polskich uczelni". Zwróćmy uwagę, że dla ministra liczba studentów jest, zdaje się, jakąś założoną wielkością, a skoro nie ma wystarczająco dużo chętnych Polaków, uczelnie mogą sobie braki uzupełnić cudzoziemcami. Zaznaczył przy tym, że ministerstwu chodzi o „prawdziwych studentów", a nie „jeżdżących na umownym Uberze". Tu minister nawiązał do głośnych doniesień medialnych o prywatnych szkołach wyższych, których jedynym celem istnienia było umożliwienie otrzymania wizy studenckiej przez osoby spoza UE. W rzeczywistości celem ich przyjazdu była praca, np. za pośrednictwem platform do zamawiania przejazdów czy dowozu jedzenia.

Te platformy pełnią w praktyce funkcję hubu, który przez sieć partnerów flotowych ułatwia imigrację, oferując źródło utrzymania niewymagające żadnych kwalifikacji. Partner oferuje imigrantowi pomoc w formalnościach związanych z przyjazdem, rower, skuter, samochód itp. Nie ma limitu osób, które mogą pracować na takich platformach, bo to nie one ich zatrudniają i nie występują o zezwolenie na pracę dla nich. Efektem takiej liberalizacji tego sektora jest rozrost tych firm i postępująca likwidacja tradycyjnych taksówek. Jak donosiła „Rzeczpospolita", tylko w ciągu pierwszych sześciu miesięcy 2026 r. z CEIDG wykreślono prawie 1,2 tys. działalności świadczących usługi taksówkarskie. Znikają z rynku także polskie korporacje taksówkarskie, a platformy, a przede wszystkim partnerzy flotowi, rosną w siłę.

To dobry punkt wyjścia do zastanowienia się, co tak naprawdę oznacza ten mityczny brak rąk do pracy. Większość ludzi wyobraża sobie jakąś stałą liczbę miejsc, która musi być obsadzona, bo inaczej gospodarka ucierpi lub wręcz się załamie. Co ciekawe, gdy chodzi o udowodnienie, że cudzoziemcy nie zabierają nikomu miejsc pracy, głoszone jest dokładnie przeciwne hasło, że liczba tych miejsc nie jest stała.

To akurat prawda. Gospodarka nie działa w ten sposób, że mamy z góry określoną liczbę miejsc pracy w danym kraju i gdy mamy w stosunku do niej za dużo ludzi w wieku produkcyjnym, to występuje bezrobocie, a gdy za mało, to potrzebujemy imigrantów, bo inaczej nastąpi katastrofa. Mogą występować przejściowe niedobory pracowników w poszczególnych branżach, ale naturalnie powinno to skutkować poprawą warunków pracy i płacy, a w efekcie późniejszym przepływem pracowników z innych sektorów, także przy wsparciu państwa oferującego pomoc w przekwalifikowaniu się. Powinno skutkować, ale często się tak nie dzieje, przede wszystkim dlatego, że pierwszym odruchem państwa jest zezwolenie na dopływ imigrantów, co utrwala w danym sektorze niskie płace i złe warunki pracy, co z kolei wzmaga niechęć miejscowych pracowników do zatrudniania się w nim i koło się zamyka. Branża dostaje łatkę „praca dla imigrantów" i nikt już tego nie kwestionuje ani nie musi konkurować o pracownika, bo zawsze znajdzie się ktoś z innego kraju, kto się tej pracy podejmie. To schemat znany z państw zachodnich. Jako przykład można wskazać np. pracę przy uboju zwierząt w Niemczech, gdzie latami zatrudniano Polaków i innych imigrantów w fatalnych warunkach i dopiero wybuch pandemii wymusił ich poprawę. W Polsce w branży mięsnej zachodzą te same zjawiska dotyczące czy to przetwórstwa mięsnego (dość przypomnieć o sprawie Kolumbijczyków zmuszanych siłą do pracy w zakładach w Radomiu), czy to np. usług opiekuńczych, na które akurat popyt będzie rósł. Obecnie praca opiekunek zza granicy w dużej mierze odbywa się w szarej strefie, więc państwowe statystyki jej nie obejmują.

Jednak większość branż, skoro Polaków będzie mniej, w dłuższej perspektywie odczuje mniejszy popyt, a to się przełoży na mniej miejsc pracy. Mniej będzie potrzeba chociażby budowlańców, na których niedostatek najbardziej powołuje się biznes, bo i znacznie mniej będzie się budowało. Tymczasem przedsiębiorcy powtarzają, że imigrantów będzie potrzeba jeszcze więcej wraz z przechodzeniem na emeryturę roczników wyżów demograficznych. Ignorują przy tym rozwój AI, automatyzację, wzrost produktywności. Skoro Polaków będzie systematycznie ubywać, to żeby utrzymać popyt, cudzoziemcy będą musieli stanowić coraz większy procent mieszkańców Polski.

Ktoś powie, że nie chodzi tylko o rynek wewnętrzny. Ale w Europie, dokąd trafia zdecydowanie największa jego część, mają miejsce analogiczne zjawiska. Nawet gdy uznamy, że Polska jest obszarem taniego wytwarzania dóbr na eksport, populacje (a więc i popyt) po drugiej stronie także się zmniejszają.

Pytanie, czy znajdzie się siła polityczna, która przygotuje kryzysowy plan radzenia sobie z coraz mniej ludnym krajem, czy też wciąż będzie się zakładać wyłącznie coraz szersze otwieranie granic? ©℗

eprasa.pl 07e1667bc0

Wielka podmiana – teza na tacy

Koncepcja ukuta przez ekscentrycznego pisarza i guru nowej prawicy została przejęta przez hiszpańską nową lewicę. W tle jest bardzo poważny problem, z jakim są i będą konfrontowane państwa naszego kontynentu – nielegalna migracja

Ireneusz C.

Kamiński

Renaud Camus należy do ujmującej skądinąd grupy francuskich zblazowanych szczęśliwców. Urodził się w bogatej rodzinie burżuazyjnej, osiadłej na nudnej owerniackiej prowincji, ale jako 20-latek załapał się na gorący studencki maj 1968 r. Walczył wtedy, odkrywszy swoją orientację seksualną, o prawa homoseksualistów. Rodzice wyrzucili go z domu i wydziedziczyli.

Gdy już podrósł, wspierał wyraziste polityczne postacie. Najpierw był to irytujący socjalista François Mitterrand, później pierwsza dama francuskiej nietradycyjnej prawicy – Marine Le Pen. Sam też zajął się polityką. Założył partię In-nocence, którą kierował z zamku w Plieux, zakupionego po sprzedaży paryskiego mieszkania. Miejsce zapewnia spokój i czas na myślenie. W gminie Plieux mieszka 159 osób. Partię polityczną też można ogarnąć – należy do niej około sto osób.

Camus od lat publikował dzienniki, gdzie dokonywał wiwisekcji swojej psyche. Najbardziej kojarzony jest jednak z niewielkim esejem zatytułowanym „Wielka podmiana" (Le grand remplacement), wydanym w 2011 r. Nawiązuje w nim do twardych danych demograficznych. Zachodnie społeczeństwa dramatycznie się zmieniają. We francuskich rodzinach rodzi się coraz mniej dzieci, rośnie liczba osób starszych. Nie ma więc szans na zastępowalność pokoleń.

Eseista nie poprzestaje na demograficznej diagnozie i próbie refleksji, co zrobić, by odwrócić dramatyczny trend. Koncentruje się na budowaniu spiskowej teorii. Twierdzi, że polityczne elity – francuskie i europejskie – zmówiły się przeciwko białym Francuzom i Europejczykom, dążąc do zastąpienia ich narodami nieeuropejskimi, szczególnie muzułmańskimi z Afryki i Bliskiego Wschodu, poprzez masową imigrację i spadek wskaźnika urodzeń w Europie. Ten proces nazwał „ludobójstwem przez substytucję".

„Wszyscy to wiemy, on to mówi"

Reakcja na esej polegała – już tradycyjnie i zgodnie z polityczną poprawnością – na jego zignorowaniu. Dla części francuskich komentatorów oraz intelektualistów myśli Camusa stanowiły jednak wyzwanie i zaproszenie do dyskusji. Stąd obecność pisarza w licznych programach radiowych i telewizyjnych. Argumentowano, że przecież lepiej podjąć dyskusję wokół rzeczywistego problemu i przyszłości Francji, a Camus odważa się pisać o zjawisku, które wszyscy rozpoznajemy. A że wyostrza? Ważniejsza jest otwarta debata.

Sam pisarz w 2017 r. założył – z Karimem Ouchikhem, synem berberyjskich migrantów – Narodową Radę Europejskiego Oporu, która ma działać na rzecz zachowania europejskiej cywilizacji. Nazwa nawiązuje do Narodowej Rady Oporu powstałej po zajęciu Francji przez Niemcy w czasie II wojny światowej. Rada liczy 32 członków zapraszanych w systemie ścisłej kooptacji ze świata politycznego oraz intelektualnego. W tej grupie znalazł się m.in. były prezydent Czech Václav Klaus.

Camus jest też aktywny w mediach społecznościowych. Jego popularne konto na Twitterze „permanentnie zawieszono" w 2021 r. Zostało odzyskane po „rewolucji wolności" Elona Muska w styczniu 2023 r.

Hiszpański prezent

Camus pozostawał w politycznej niszy i poza Francją nie był rozpoznawany. Do niedawna. Jego propozycją posłużyła się hiszpańska lewica. W Hiszpanii postanowiono uregulować status prawny, a perspektywicznie przyznać obywatelstwo ponad 0,5 mln imigrantów (w praktyce może to być nawet trzy razy więcej). „Oby teoria podmiany populacji się ziściła! Obyśmy mogli pozbyć się faszystów i rasistów z tego kraju dzięki imigrantom" – wołała w marcu Irene Montero, europoseł partii Podemos. Ta partia nowej lewicy zrzesza sieroty po komunistach oraz innym radykalnym planktonie – maoistów, trockistów.

Pomysł pojawił się w związku z wyborami parlamentarnymi, które miały się odbyć w lipcu 2027 r. (ostatecznie odbędą się przedterminowo 30 listopada 2026 r.) Teraz rządzi egzotyczna koalicja socjalistów, Podemos oraz całej grupy partii narodowych (katalońskich, baskijskiej, nawarryjskiej i kanaryjskiej). Zbieranina rozmaitości stworzona tylko po to, by nie powstał rząd tradycyjnej prawicy (Partia Ludowa) i Partii Vox.

W poprzednich wyborach z 2023 r. było na styk. Sondaże przedwyborcze wskazują, że w kolejnych wyborach zwycięży szeroka prawica. Podjęto więc desperacko poszukiwanie wyborczych trików. Lewica mówi migrantom: damy wam obywatelstwo, a wy na nas z wdzięczności zagłosujcie. Inaczej będą rządzić „faszyści i rasiści", którzy was jako nielegałów wyrzucą.

Po inwazji na Ceutę

I tak już niemałe emocje wokół pomysłu wyborczego zagospodarowania migrantów przez lewicę podgrzał niedawny szturm migrantów na Ceutę, hiszpańską enklawę w Afryce. Na przełomie lipca i sierpnia do Ceuty nielegalnie przedostało się według niektórych szacunków nawet ponad 70 tys. osób. Większość z nich przekonano do opuszczenia hiszpańskiego terytorium, ale pozostali mieli zostać przewiezieni do „właściwej" Hiszpanii. Wrócił więc spór o politykę migracyjną i pomysły lewicowych władz.

W marcu 2026 r. hiszpański rząd ogłosił amnestię dla nielegalnych migrantów. Przyjęte wtedy przepisy dokonywały legalizacji pobytu i dawały prawo do pracy. Nie nadawały obywatelstwa. Lewica mówiła jednak otwarcie – to pierwszy krok, potem obywatelstwo. Być może chciano to zrobić jeszcze przed wyborami w 2027 r., skracając w przypadku migrantów wymagany czas uprawniający do otrzymania obywatelstwa do mniej niż pięciu lat. Zabrakło czasu, bo Hiszpanie pójdą do urn kilka miesięcy wcześniej.

Rząd miał też inny pomysł. Na mocy prawa zwanego ustawą wnuków (Ley de nietos) przyznano hiszpańskie obywatelstwo, a tym samym prawa wyborcze, potomkom osób, które opuściły Hiszpanię po objęciu władzy przez gen. Franco. Zakładano, że ci nowi-starzy Hiszpanie zagłosują na lewicę. Wszystkie ręce na pokład. A jest to według dostępnych danych już 160 020 osób.

Przepisy autorstwa lewicowego rządu zostały zaskarżone do Sądu Najwyższego przez prawicową opozycję. Ten 12 października zawiesił „wnukom" prawo do oddania głosu w najbliższych wyborach, nie pozbawiając ich jednak obywatelstwa. Wnioskodawcy nie odnieśli natomiast sukcesu w sprawie rządowego dekretu dotyczącego pobytowej amnestii dla migrantów. 8 lipca Sąd Najwyższy oddalił wniosek i nie chciał skierować pytania prejudycjalnego do Trybunału Sprawiedliwości UE. Ale tu zaczyna się bardzo ciekawie europejski wątek.

Zatrzymajcie sobie swoich migrantów

Szacowano, że z polityki amnestyjnego otwarcia skorzysta ok. 0,5 mln nielegałów. Ale już teraz jest to ponad 1 mln, a będzie – na podstawie rządowych szacunków – więcej niż półtora. Burzą się więc inne państwa ze strefy Schengen, zwłaszcza sąsiedzi Hiszpanii.

Najmocniej zareagowały jednak Włochy. Rzym – już wcześniej mocno poirytowany polityką Madrytu – postanowił po wydarzeniach w Ceucie wprowadzić kontrole graniczne dla samolotów i statków przybywających z Hiszpanii i konsekwentnie te kontrole przedłuża. Zapowiedział też podjęcie kroków na unijnym forum.

Te zapowiedzi właśnie się materializują. Trzy kraje – Włochy, Dania i... Polska – zawarły nieformalny sojusz i do konkluzji ostatniego szczytu Rady Europejskiej UE (15–16 października) dołączyły projekt poprawki, która stanowi krytyczną reakcję na politykę migracyjną rządu Hiszpanii i ma na celu zablokowanie jednostronnych amnestii migracyjnych. Wskazuje się, że masowa legalizacja pobytu przez Madryt działa niczym magnes na nielegalną migrację, co uderza w bezpieczeństwo całej strefy Schengen.

Można postawić dolary przeciw orzechom, że po listopadowych wyborach w Hiszpanii powstanie rząd prawicy – tradycyjnej (Partido Popular/Partia Ludowa) i nowej (Vox). I chyba założyć, że odniesie się on krytycznie do „włączających" pomysłów poprzedników. Na wypadek, gdyby zaś jakimś cudem władzę zachowała lewica z przystawkami, można zadać następujące pytanie: czy Europa, czyli w praktyce Komisja Europejska, byłaby gotowa wnieść skargę przeciwko Madrytowi do TSUE? A jeśli KE tego nie zrobi, to czy skargę złożyłyby – do czego są uprawnione – krytyczne państwa, a więc co najmniej Rzym, Kopenhaga i Warszawa?

Nie tylko Hiszpania

Szalony i desperacki pomysł hiszpańskiej lewicy polegający na wielkiej podmianie nie tylko wyciąga Camusa z politycznej niszy. Potwierdza też – dla części wyborców – jego „spiskową diagnozę". Rdzennego, suwerennego wyborcę ma zastąpić „obcy", by elity, lewicowe czy też lewicowo-liberalne, nie utraciły władzy. Druga strona politycznej barykady dostaje na tacy narzędzie do budowania radykalnej riposty. Spójrzmy na wyborczy kalendarz. Nie tylko jest przyspieszona o kilka miesięcy Hiszpania. W roku 2027 wybory będą też w kilku kluczowych dla Europy państwach, m.in. parlamentarne w Polsce, a prezydenckie we Francji. Już teraz na czele sondaży nad Sekwaną jest Marine Le Pen.

Różne wariacje na temat politycznej podmiany pobrzmiewają mocno nad Sekwaną. W Polsce, po marcowej wypowiedzi polityk hiszpańskiej radykalnej lewicy, ciepło do jej pomysłu odniósł się polski lewicowy eurodeputowany. Zatem i u nas kwestia migracji wystąpi mocno jako element wyborczego starcia. ©℗



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Ireneusz C.

Kamiński

profesor Instytutu Nauk Prawnych PAN; wykłada też na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach 2014–2016 sędzia ad hoc w Europejskim Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu

eprasa.pl 07e1667bc0

Idee



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Zahartowani przez historię

To, dzięki czemu Polacy pozostawali Polakami w czasach opresji, stało się naszym paliwem do działania w czasach wolności. Także gospodarczej

Sebastian

Stodolak

To prawdziwy cud nad Wisłą. Mamy wojnę za miedzą, rosnące zadłużenie kraju, kulawe systemy emerytalny i zdrowotny, potężny kryzys demograficzny i skrajnie skłóconą klasę polityczną, a jednak nasza gospodarka rośnie. Według prognoz PKO BP w tym roku nasze PKB ma się zwiększyć o ok. 3,5 proc. W Europie wyprzedzi nas prawdopodobnie tylko malutka Malta.

Ekonomiści różnie to tłumaczą. Marcin Piątkowski, autor książki „Europejski lider wzrostu. Polska droga od ekonomicznych peryferii do gospodarki sukcesu", mówi o egalitaryzmie, wykształceniu Polaków, ich przedsiębiorczości, pragmatycznych elitach i Unii Europejskiej. Leszek Balcerowicz wskazuje na szybkie przestawienie wajchy z socjalizmu na kapitalizm. Kevin Daly z Goldman Sachs za główny motor polskiego wzrostu uznaje inwestycje zagraniczne, a Kristalina Georgieva z MFW łączy te wątki w opowieść o zastąpieniu wyzyskujących instytucji komunizmu instytucjami włączającymi i o stabilności makroekonomicznej.

Większość komentatorów pomija, traktuje po macoszemu bądź nieadekwatnie interpretuje okres poprzedzający dzisiejszy cud: ponad 200 lat zaborów, wojen i geopolitycznej zależności. Nieszczęścia wytworzyły w Polakach cechy, bez których z dużym prawdopodobieństwem żadnego cudu by nie było.

Uciec od banału

Doszukując się w nieszczęsnej przeszłości kuźni narodowego charakteru, łatwo popaść w wyjątkowo płytki banał. Przykładem jest polska zdolność do kombinowania – rozwiązywania pozornie nierozwiązywalnych problemów, ale też obchodzenia oficjalnych reguł, kiwania władz. Powszechną w Polsce zdolność do kombinowania komentatorzy przypisują często właśnie naszym historycznym doświadczeniom.

Czym jednak ta zdolność do kombinowania jest dokładnie? Czy ma raczej charakter indywidualnego sprytu, jak u Michała Drzymały, czy może oznacza zdolność do spontanicznej, oddolnej samoorganizacji, której przykładem była choćby opozycja za PRL? I czy naprawdę tylko o kombinowanie chodzi? A co z determinacją i przekonaniem, że zawsze warto wierzyć w lepsze jutro? Z tym, co Stefan Kisielewski ujął w toaście „za nieoczekiwane powodzenie naszej beznadziejnej sprawy"?

Mówiąc o schedzie po przeszłości, łatwo także powielać nieprawdziwe kliksze. Na pewno nieraz widzieliście krążące w internecie rozmaite mapki sugerujące, że różnice rozwojowe powstałe w czasach zaborów ujawniają się w rozmaitych aspektach do dzisiaj. Niekiedy bywa to prawda, ale jednocześnie wiele z tych mapek ilustruje fałszywą przyczynowość demitologizowaną raz po raz przez historyków gospodarki. Przykładowo sugestie, że rozwój przebiega wciąż w granicach zaborów, nie wytrzymują zderzenia z faktami. Najbogatsze dzisiaj jest Mazowsze z dawnego zaboru rosyjskiego, a wśród najbiedniejszych regionów są obok siebie Podkarpacie z austriackiego, Lubelszczyzna z rosyjskiego i Warmia z dawnych Prus Wschodnich. Linia, która naprawdę dzieli te mapy, to granica z 1945 r. i różnica między dużym miastem a wsią.

Z wieloma mitami na temat wpływu zaborów na polski rozwój rozprawia się Piotr Koryś w książce „Pożegnanie z pańszczyzną". Tam też pośrednio polemizuje z Marcinem Piątkowskim i jego tezą o wpływie socjalizmu na dzisiejszy rozwój. Mianowicie Piątkowski twierdzi, że egalitarny charakter socjalizmu rozbił dawne elity feudalne i dał możliwość awansu społecznego masom, czyli stworzył mobilność kluczową dla dynamicznego wzrostu, gdy już został zastąpiony przez kapitalizm. Problem z tą argumentacją według Korysia jest taki, że egalitaryzm PRL był w dużej mierze złudzeniem, a stosunki feudalne były wręcz rekonstruowane, tyle że na podstawie innych mechanizmów. Skoro pańszczyzna jako instytucja formalna zniknęła z ziem polskich do lat 60. XIX w., komunizm nie miał już czego znosić, zaś to, że po 1945 r. powstało „najbardziej egalitarne społeczeństwo w dziejach Polski", to raczej wynik fizycznej likwidacji elit w czasie wojny i odebrania jej majątków. Tezę Korysia potwierdzają zresztą rozmaite badania porównawcze. Austriacki historyk gospodarki Walter Scheidel w „The Great Leveler" pokazuje, że w całej historii ludzkości nierówności spadały istotnie tylko w wyniku czterech katastrof: wojny totalnej, rewolucji, upadku państwa i zarazy. Z kolei ekonomista Mancur Olson w „The Rise and Decline of Nations" dowodzi, że wojna i okupacja niszczą zwykle usztywniające strukturę społeczną koalicje grup interesu. Jako przykłady podawał RFN i Japonię, które po 1945 r. również przeszły „czyszczenie pola", ale – na szczęście dla nich – bez socjalizmu.

Twórcza obrona tożsamości

Dlaczego właściwie nasz cud gospodarczy ma tłumaczyć akurat historia? Przecież Polska nie jest jedynym państwem mającym za sobą pasmo nieszczęść. Co jest zatem czynnikiem różnicującym? Tożsamość. Jeśli ucisk najeźdźców tłamsi coś więcej niż tylko nasz dobrobyt, jeśli jest wymierzony w rdzeń naszej tożsamości, to wówczas następuje potężna reakcja obronna. To w tożsamości, w wypadku Polski przede wszystkim narodowej, tkwi wyjaśnienie zagadki.

Historycy zajmujący się pojęciem narodu wskazują, że Polacy wchodzili w okres opresji bez silnego poczucia tożsamości w rozumieniu nowoczesnej

eprasa.pl 07e1667bc0

szerokiej wspólnoty narodowej. Koniec XVIII w. to wciąż szlachecki „naród polityczny". Paradoksalnie zabory i związana z nimi opresja przyspieszyły ewolucję w kierunku narodu obejmującego także chłopów i mieszczan. „Polacy należą do wspólnoty, która nabyła nowoczesne poczucie narodowości w czynnej opozycji wobec polityki państw, w których żyli. (...) Uwłaszczenie chłopów i rozwój oświaty obudziły dla idei narodowej całe nowe warstwy społeczeństwa. Jan Słomka z Dzikowa nad Wisłą przeszedł, jak sam pisze, od pańszczyzny do samorządu. Jako młody człowiek nie miał pojęcia, że jest Polakiem. (...) Gdy jednak nauczył się czytać i zaczął uczestniczyć w galicyjskiej polityce, Słomka w końcu z entuzjazmem uświadomił sobie swoją polskość" – zauważa prof. Norman Davies w „Bożym igrzysku. Historii Polski".

Tożsamość narodowa objęła masy chłopskie w ostatnich dekadach przed 1914 r., czyli akurat w przededniu I wojny światowej. W pewnym sensie „w sam raz na czas", choć, jak zauważa Davies, wciąż była rozproszona i podzielona. Dopełnienie tego procesu przyniosła dopiero wojna z bolszewikami w 1920 r., w której na masową skalę walczyła armia chłopska.

Porównajmy to z innym uciśnionym krajem – Ukrainą. Co prawda ukraiński ruch narodowy w Imperium Rosyjskim, gdzie mieszkała większość Ukraińców, w XIX w. istniał tak, ale był to ruch nielicznej inteligencji, bez własnej szlachty i bez tradycji państwowej, do której mógłby się odwołać. Proces wyłaniania się narodu był wolniejszy także w wyniku bardzo silnej opresji ze strony caratu. Gdy zatem polscy chłopi mówili już o sobie per Polacy, ukraińscy utożsamiali się bardziej z prawosławiem lub „Rusią" niż z narodem ukraińskim.

Tragedie, które spadły na Polskę w XX w., dotknęły społeczeństwa, które broniło już czegoś więcej niż swojej własności i najbliższych – broniło całej wspólnoty. To, przed kim jej broniło (głównie przed Wschodem), miało zbawienny skutek uboczny. Oto gdy w końcu komuna upadła, jasne było, po jakie rozwiązania ustrojowe sięgniemy – zachodnie, czyli kapitalistyczne. Cały katalog cech i kompetencji oraz energia i ambicja, które wykształciliśmy i gromadziliśmy przez wieki opresji, otrzymały najlepszy z możliwych systemów, by wreszcie znaleźć twórcze ujście. To, dzięki czemu Polacy pozostawali Polakami w czasach opresji, stało się naszym paliwem do działania w czasach wolności.

Ukraina nie miała tego szczęścia. Niby również, po upadku Związku Sowieckiego, wprowadziła gospodarkę rynkową, ale bez koniecznej terapii szokowej, jak w Polsce, a przede wszystkim w skorumpowanym środowisku politycznym, które natychmiast wytworzyło potężną oligarchię uniemożliwiającą rozkwit. My mieliśmy więcej szczęścia.

Ale już Roman Dmowski w 1903 r. w „Myślach nowoczesnego Polaka" dostrzegał mechanizm, w którym opresja przyspiesza formowanie się charakteru narodowego Polaków. Pisał proroczo, że „Prusacy, chcąc nas wytępić doszczętnie, (...) wytworzyli w swym zaborze warunki przyśpieszonego przekształcania nas na społeczeństwo czynne, pełne energii bojowej, zdolne do zdobywania sobie bytu w najcięższych warunkach. Zmusili oni i zmuszają coraz bardziej zachodni odłam naszego narodu do wydobycia z siebie tych zdolności, tych sił, które są nie tylko potrzebne do istnienia dzisiaj, ale które jedynie umożliwią nam w przyszłości zdobycie samoistnego bytu politycznego i utrzymanie żywotnego, silnego państwa polskiego". Jak dokładnie wyglądał ten mechanizm i dlaczego jego efekty przetrwały do dzisiaj?

Dziedziczenie postaw

Wróćmy do „kombinowania". Mówi się często, że ktoś ma coś zapisane w genach – może Polacy mają w DNA właśnie taką predyspozycję, zakodowaną jako ślad po traumie przeżytej przez przodków? To byłby raczej pogląd pseudonaukowy. Znany genetyk Kevin Mitchell z Trinity College w Dublinie stawia sprawę jasno, pisząc na swoim blogu „Wiring the Brain", że „nie ma przekonujących dowodów na transgeneracyjne dziedziczenie epigenetyczne u ludzi".

Nie oznacza to jednak, że do dziedziczenia nie dochodzi w sensie społecznym. Warunki, w których przychodzi nam żyć, wpływają na normy i mechaniki naszych zachowań przenikające na kolejne pokolenia. Kombinowanie związane jest z innymi zdolnościami, które właśnie takiemu dziedziczeniu podlegają. Kiedy państwo jest obce lub wrogie, omijanie jego reguł staje się racjonalne, a zaufanie zostaje zarezerwowane dla swoich. Świadczą o tym badania prowadzone w rozmaitych kontekstach historycznych. Na przykład Ravi Mehta i Meng Zhu w pracy „Creating When You Have Less: The Impact of Resource Scarcity on Product Use Creativity" z 2015 r. wykazali w sześciu eksperymentach, że poczucie niedoboru skłania ludzi do bardziej pomysłowego wykorzystywania tego, co mają. Co więcej, kombinowanie okazuje się sportem zespołowym, bo jak zauważają autorzy przeglądu „Can War Foster Cooperation?" z 2016 r., „w ostatniej dekadzie blisko 20 badań wykazało silny, trwały wzorzec w ankietach i eksperymentach behawioralnych z ponad 40 krajów: indywidualne doświadczenie przemocy wojennej zwykle zwiększa współpracę społeczną na poziomie lokalnym, w tym udział w życiu wspólnoty i zachowania prospołeczne". Co ważne, z ich analizy wynika, że efekty te nie słabną z upływem czasu. Oczywiście taka współpraca, gdy odbywa się przeciw opresyjnym władzom, musi mieć charakter organicznej samoorganizacji. To dlatego w zaborze pruskim powstały banki ludowe i kółka rolnicze, a w Galicji kasy Stefczyka i koła oświatowe. Z oddolnej pracy organicznej wyrósł w końcu polski etos pracy, a z walki z pruską Komisją Kolonizacyjną – chłopskie przywiązanie do własnego zagonu.

Czasy opresji – zaborczej, okupacyjnej czy socjalistycznej – sprawiają, że inwestowanie w cokolwiek namacalnego jest zbyt ryzykowne. To dlatego właśnie wykształciła się w Polakach silna skłonność do inwestowania w to, czego nie da się odebrać – w wiedzę. Nie chodzi o to, że Polacy byli narodem jakoś wyjątkowo wykształconym, ale o to, że kiedykolwiek pojawiała się szansa na to, by wykształcenie nabyć, wykorzystywali ją, a gdy jej nie było – tworzyli. W Galicji, gdzie po 1867 r. Austria pozwoliła na polską szkołę, uczniowie do dziś osiągają wyniki wyższe niż ich rówieśnicy po dawnej stronie rosyjskiej, co wykazał ekonomista Paweł Bukowski. Z kolei w Warszawie, gdzie zrusyfikowano szkoły, od lat 80. XIX w. działał tajny Uniwersytet Latający, na którym studiowała m.in. Maria Skłodowska.

To wszystko nie miałoby miejsca, gdyby opresja równolegle nie wyzwalała w Polakach determinacji wbrew wszelkiej nadziei – tej z toastu Kisiela. Temu twierdzeniu w sukurs znów idzie nauka. Maarten Voors i współautorzy w eksperymencie opisanym w pracy „Violent Conflict and Behavior: A Field Experiment in Burundi" z 2012 r. stwierdzili, że „osoby wystawione na przemoc przejawiają więcej altruizmu wobec sąsiadów i chętniej podejmują ryzyko". W polskim przypadku determinacja miała dwa oblicza. Jednym był bunt. Norman Davies pisze w „Bożym igrzysku", że „od samego początku polski patriotyzm wiązał się z niezgodą i insurekcją". Drugim był chłodny realizm wobec Rosji.

Jeszcze innym wyjściem z beznadziei była emigracja – od Wielkiej Emigracji po wyjazdy za chlebem do Ameryki – czyli mobilność. Poczucie tożsamości – zwłaszcza gdy mowa o elicie – poza krajem nie słabło. Pisane tam dzieła podnosiły na duchu tych, którzy zostali.

Te wszystkie cechy i zdolności można odnaleźć we współczesnych Polakach.

Gdy się nie ma, co się lubi...

Wyuczoną w procesie historycznym odporność na wstrząsy, bez której Rzeczpospolita nigdy by się nie odrodziła, widać choćby w tym, że w 2009 r. Polska jako jedyny kraj UE uniknęła recesji, a w pandemii przeszła jedno z płytszych załamań w Europie. W czasach komuny chłopskie przywiązanie do własnej ziemi obroniło polską wieś przed kolektywizacją, dzięki czemu jesteśmy dziś jednym z największych w UE eksporterów żywności. Tradycja banków ludowych i kas Stefczyka żyje w ok. 500 bankach spółdzielczych, jednej z najgęstszych takich sieci w Europie. Etos pracy z kolei widać w statystykach OECD – Polak przepracowuje rocznie niemal 1,8 tys. godzin, o ponad 400 więcej niż Niemiec. Wciąż też jesteśmy głodni tego, czego odebrać się nie da – wiedzy. Liczba studentów wzrosła z ok. 400 tys. na początku lat 90. do niemal 2 mln w szczytowym okresie, a obecnie studiuje ok. 1,32 mln osób. Mobilność wysłała po 2004 r. za granicę ponad 2 mln Polaków, z których jednak część wróciła z kapitałem i umiejętnościami. To wszystko razem wzięte dało nam np. jedną z największych i najlepiej wykształconych w Europie kadr informatyków, a firma CD Projekt pokazała, że z tego kapitału można zbudować globalną markę.

Samoorganizację i zdolność do mobilizacji było widać w 2022 r., kiedy miliony uchodźców z Ukrainy trafiły do prywatnych domów zamiast do państwowych obozów. Widać je też na co dzień w kilkunastu tysiącach jednostek OSP i w ponad 10 tys. odrodzonych kół gospodyń wiejskich.

Zaradność przeszła w przedsiębiorczość. Samozatrudnieni to 19 proc. pracujących wobec średnio 13,8 proc. w UE. Z Polski wyszły paczkomaty i Blik, system zbudowany wspólnie przez konkurujące banki. Niestety, przedsiębiorczość – jak w czasach zaborów i komuny – wciąż jest tłumiona przez biurokrację. Owocuje to potężną szarą strefą szacowaną przez IPAG na 18 proc. PKB, ale też wypychaniem największych talentów za granicę.

Najbardziej rozpoznawalnym dziedzictwem wieków życia pod batem jest jednak buntownicze nastawienie. Widać je doskonale w polskiej polityce zagranicznej. Polska wbrew pozorom regularnie mówi „nie" także tym silniejszym sojusznikom. Tak było, gdy przez lata sprzeciwiała się budowie Nord Stream 2, który Berlin uważał przecież za projekt czysto biznesowy. Tak było również w Tbilisi w 2008 r., gdy Lech Kaczyński ostrzegał: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj". Ta postawa ma praktyczną, pozytywną, niezwykle ważną dzisiaj konsekwencję – konsensus w kwestii podnoszenia wydatków na modernizację armii.

Oczywiście nie cała scheda po przeszłości ma pozytywny charakter. Opresja kazała nam ufać swoim, ale jednocześnie wykształciła w nas silną nieufność wobec obcych. Według sondażu CBOS „Zaufanie społeczne" z lutego 2026 r. tylko 22 proc. Polaków uważa, że większości ludzi można ufać. Utrudnia to firmom ekspansję zagraniczną, każe trzymać majątek w nieruchomościach czy pod materacem zamiast inwestować na giełdzie i leży u podłoża powszechnego sprzeciwu wobec prywatyzacji. Z kolei ciemną stroną polskiej zaradności jest przekonanie, że przechytrzenie fiskusa to cnota, której miarą była luka w VAT sięgająca ponad dekadę temu jednej czwartej należnego podatku. Per saldo jednak cechy wykształcone w czasach niedostatku i prześladowań, a dzisiaj wtłoczone w odpowiednie ramy systemowe, służą naszemu rozwojowi bardzo dobrze.

Jestem więcej niż pewny, że gdybyśmy nigdy nie zostali wymazani z mapy, gdybyśmy nie byli poligonem dwóch wojen światowych, a potem zakładnikami Sowietów, to mielibyśmy się jeszcze lepiej, niż mamy się obecnie. Bylibyśmy zapewne pod względem skumulowanego bogactwa jak Niemcy, Szwecja, Austria czy Włochy. I choć zapewne mielibyśmy podobne problemy, które dzisiaj dręczą te państwa, np. niski wzrost czy niepokoje społeczne związane z nadmierną imigracją, mielibyśmy też kilkunastu noblistów z dziedziny nauk przyrodniczych, ze dwa liczące się na świecie kluby piłkarskie i kilkanaście koncernów na miarę BMW czy SAP. Cóż, „gdy się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma". Największym wyzwaniem stojącym przed współczesną Polską jest nie zmarnować tego, co mamy. Niestety, nasza klasa polityczna chyba tego nie rozumie. ©℗

Autor jest wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute

eprasa.pl 07e1667bc0

Historia

Polska pocztówka okolicznościowa po wydaniu przez dwóch cesarzy Aktu 5 listopada



FOT. WBP LUBLIN/DOMENA PUBLICZNA

Królestwo polsko-niemieckie

Odbudowa państwa sprawiłaby Polakom w 1918 r. o wiele więcej trudności, gdyby nie jego namiastka utworzona przez Niemców dwa lata wcześniej

Andrzej

Krajewski

„Jego Cesarska Mość Cesarz Niemiecki oraz Jego Cesarska i Królewska Mość Cesarz Austryi i Apostolski Król Węgier postanowili z ziem tych utworzyć państwo samodzielne z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem" – informował Polaków 5 listopada 1916 r. akt podpisany przez Wilhelma II oraz Franciszka Józefa I. Decyzją monarchów na ziemiach Rzeczpospolitej, będących pod zaborem rosyjskim, odtwarzano Królestwo Polskie, acz bez dokładnego wytyczenia granic. „Nowe królestwo znajdzie w łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami rękojmię potrzebną do swobodnego sił swych rozwoju" – obiecywali cesarze.

Jednak Polacy do tych zapewnień podeszli sceptycznie. „Słusznie podejrzewano, że Państwom Centralnym, coraz boleśniej doświadczającym przedłużającej się wojny, chodziło o zmobilizowanie znajdujących się pod ich kontrolą od ponad roku zasobów ziem centralnej i wschodniej Polski, a zwłaszcza stworzenia walczących u ich boku z Rosjanami sił zbrojnych" – opisuje w opracowaniu „Wątpliwe odrodzenie Polski" Piotr Szlanta.

Tylko w Galicji odnotowano wybuch radości. „W uroczyście udekorowanym w barwy narodowe Krakowie uderzono w dzwon Zygmunta, a oficerowie legionów wprzęgli się zamiast koni do powozu, którym jechał Józef Piłsudski, a potem na rękach wnieśli go na Wawel" – relacjonuje Szlanta. Tego dnia w dawnej stolicy odprawiono dziękczynne modły nawet w synagogach, a Rada Miejska i Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego posłały listy z podziękowaniami i deklaracjami wierności do Franciszka Józefa.

Choć decyzje, jakie zapadły w Berlinie i Wiedniu, nie miały służyć dobru Polaków, to zaczęły przynosić im obiecujące efekty. „Nawet sam Roman Dmowski, wiążący wszak podczas wojny nadzieję na odbudowę Polski z ententą, przyznał po latach, że decyzja Wilhelma II i Franciszka Józefa I unaoczniła politykom zachodnim wagę kwestii polskiej. Odtąd Polacy na zachodzie przestali być traktowani jedynie jako informatorzy, a zaczęli być przez tamtejszych polityków postrzegani jako partnerzy, przedstawiciele siły, z którą należy się liczyć" – podkreśla Szlanta.

Poza tym choć Królestwo Polskie musiało posłusznie wykonywać rozkazy niemieckich gubernatorów wojskowych, to w polskie ręce zaczęła przechodzić administracja cywilna, szkolnictwo oraz sądy. To budziło nadzieję na przyszłą niepodległość.

Pozyskanie mięsa armatniego

„Królestwo w 1913 r. miało ok. 13 mln ludności (mobilizacja rosyjska objęła ok. 0,5 mln), w 1916 r. było ok. 10 mln, w tym ok. 1,46 mln mężczyzn w wieku poborowym" – wylicza w monografii „Rada Regencyjna Królestwa Polskiego i jej organy (1917–1918)" Zdzisław Julian Winnicki. Dla ponoszących olbrzymie straty Państw Centralnych był to bardzo łakomy kąsek. Ale Niemcy oraz Austro-Węgry podpisały IV konwencję haską, która zabraniała okupantom przymusowego poboru na podbitych ziemiach. Z prawnego punktu widzenia ludzie zamieszkujący Królestwo Polskie byli poddanymi cara Mikołaja II. Berlin i Wiedeń nie odważyły się więc złamać konwencji, wybierając próbę jej obejścia.

Zająć się tym mieli szef Generalnego Gubernatorstwa Warszawskiego gen. Hans von Beseler oraz szef Generalnego Gubernatorstwa Lubelskiego gen. Karl Kuk. Na ich barkach spoczęło zadanie przekonania Polaków, by zgła-

eprasa.pl 07e1667bc0

szali się na ochotnika do walki z Rosją. Na początek, 26 listopada 1916 r., gubernatorzy podpisali rozporządzenie o utworzeniu Tymczasowej Rady Stanu z siedzibą w Warszawie. „Organ miał się składać z 25 członków «którzy obeznani z życzeniami i interesami narodu i mocą swego stanowiska powołani do reprezentowania wszystkich ziem i wszelkich kół zawodowych»" – opisuje Winnicki.

Dzięki temu dwa generalne gubernatorstwa stawały się w świetle prawa jednym organizmem administracyjnym. Jednocześnie wojskowi gubernatorzy ustanowili przy Tymczasowej Radzie Stanu reprezentujących ich Komisarzy Rządowych. Na czele TRS stanął obdarzony tytułem marszałka koronnego Wacław Niemojowski, dobrze postrzegany w Berlinie ziemianin spod Kalisza. Jego dziadkiem był Bonawentura Niemojowski, przywódca „kaliszan" w Królestwie Polskim, a potem ostatni prezes Rządu Narodowego, gdy dogasło powstanie listopadowe.

Po przodku marszałek nie odziedziczył twardego charakteru i w Radzie najwięcej do powiedzenia miały dwie inne osoby. Pierwszą był rzeczywisty pomysłodawca Aktu 5 listopada Władysław Studnicki. Jako zwolennik odbudowy Polski we współpracy z Niemcami od dawna szukał kontaktów w Berlinie oraz odwiedzał gen. von Beselera. Wreszcie w maju 1916 r. przekazał mu memorandum, proponując odtworzenie Polski w ścisłym związku z II Rzeszą. Jej wschodnie granice miały sięgać Dźwiny i Berezyny, zaś zachodnie pokrywać się z linią graniczną nakreśloną dla Królestwa Polskiego w 1815 r. przez kongres wiedeński.

Pomysł ten spodobał się Wilhelmowi II. Zatem po Akcie Studnicki poczuł się ojcem odradzającej się Rzeczpospolitej i chciał mieć w niej jak najwięcej do powiedzenia. Dlatego też przy poparciu von Beselera założył 21 listopada 1916 r. proniemiecki Klub Państwowców Polskich. Ale jego germanofilskie nastawienie podzielało niewielu Polaków. A co gorsza dla niego – w Tymczasowej Radzie Stanu, która istnienie uroczyście zainaugurowała 14 stycznia 1917 r. na Zamku Królewskim w Warszawie, kierowanie Komisją Wojskową przejął Józef Piłsudski.

Robota Komendanta

Z brygadierem Piłsudskim Niemcy mieli swoje porachunki. Gdy na ziemie zaboru rosyjskiego wkroczyły wojska Państw Centralnych, Władysław Sikorski rozpoczął w Warszawie i innych miastach akcję werbowania ochotników do legionów. A te były wojskiem podległym dowództwu austriackiemu. Skoro Wiedeń ani tym bardziej Berlin latem 1915 r. nie zamierzały się godzić na niepodległą Polskę, Piłsudski zablokował werbunek. W odwecie władze wojskowe Warszawy wydaliły go z miasta i zakazały wjazdu.

Jednak Austriacy nie odebrali mu dowodzenia I Brygadą Legionów. Do dymisji podał się sam we wrześniu 1916 r., protestując przeciwko traktowaniu legionistów jak „mięso armatnie", bez jednoczesnego zaoferowania Polakom niepodległej ojczyzny. Wtedy też utworzona przez Piłsudskiego konspiracyjna Polska Organizacja Wojskowa zaczęła sabotować akcję rekrutowania do legionów. Dwa miesiące później brygadier Piłsudski dostał namiastkę tego, czego się domagał w postaci Aktu 5 listopada.

Podobnie jak Studnicki mógł się więc uważać za jego pomysłodawcę. Zatem zgodził się przyjąć stanowisko referenta Komisji Wojskowej. Szybko jednak spotkało go rozczarowanie. „Podstawowym problemem, który próbował wyjaśnić Piłsudski, były kompetencje wojskowe Tymczasowej Rady Stanu. Niestety, w tych sprawach miała ona bardzo niewiele do powiedzenia. Głównodowodzącym tworzonego wojska polskiego był generał-gubernator Hans von Beseler, a Rada miała jedynie głos doradczy w sprawach werbunkowych i propagandy wojennej" – wyjaśnia Jan Snopko w opracowaniu „Sprawozdanie z działalności komisji wojskowej Tymczasowej Rady Stanu (styczeń – sierpień 1917)".

Pomimo to Komendant nie poddawał się i próbował maksymalnie wykorzystywać okazję, jaka się nadarzyła, aby stworzyć niezależną od Niemców polską armię. Zaczął od próby przejęcia kontroli nad poczynaniami TRS za pośrednictwem swojej komisji. „Wprowadził tam niemal całą Komendę Główną Polskiej Organizacji Wojskowej. (...) Później zastępcą Piłsudskiego został ściągnięty z Krakowa Kazimierz Sosnkowski" – pisze Snopko.

Komendant udawał nawet, że pogodził się z tym, że to von Beseler obejmie stanowisko wodza naczelnego, gdy powstanie „Polnische Wehrmacht". Jednak w maju 1917 r. Piłsudski zaczął po cichu przygotowywać swoich ludzi na zerwanie współpracy z Niemcami. Do wojny światowej po stronie Ententy przystąpiły Stany Zjednoczone, a w Królestwie zamiast polskiej armii okupant próbował stworzyć polskojęzyczny Wehrmacht. Poza tym Tymczasowa Rada Stanu, nie mogąc nic zrobić wbrew woli von Beselera, traciła resztki autorytetu. Jednocześnie Studnicki wściekle naciskał na tworzenie armii dowodzonej przez Niemców. Acz pozostawał w tym zupełnie osamotniony.

„Pan, Marszałku, i większość Rady Stanu przez nieznajomość procesów dziejowych, przez przyzwyczajenia, jakich nabywaliście w sferze stosunków prywatno-prawnych, zamiast tworzyć armję prowadziliście targi o szczegóły organizacji tej armji" – oskarżał członków TRS w lipcu 1917 r. w liście do Wacława Niemojowskiego. „Wiadomo, że Piłsudski i komisja Wojskowa Rady Stanu przez niego kierowana była głównym czynnikiem rozkładu. Robotę rozkładową Piłsudskiego demaskowałem na poufnych posiedzeniach Rady Stanu, więc Marszałek nie może usprawiedliwiać swej bezczynności nieświadomością" – pieklił się Studnicki.

Po kryzysie przysięgowym

„Formalne zerwanie z Państwami Centralnymi nastąpiło 2 lipca 1917 r., kiedy Piłsudski złożył rezygnację z członkostwa w Tymczasowej Radzie Stanu. Jego śladem poszli inni członkowie rady związani z obozem niepodległościowym (...) i personel Komisji Wojskowej" – relacjonuje Snopko. Następnie, po apelu zarządzonym przez Piłsudskiego, żołnierze z I i III Brygady Legionów pochodzący z Królestwa masowo odmówili złożenia przysięgi. Mieli w niej zobowiązać się, iż w „obecnej wojnie dotrzymam wiernie braterstwa broni wojskom Niemieckim i Austro-Węgierskim".

Tym razem Berlin, który podporządkował sobie upadające Austro-Węgry, zareagował zdecydowanie. Legionistów odmawiających złożenia przysięgi internowano w obozach w Szczypiornie i Beniaminowie. Ich towarzyszy broni, formalnie będących nadal poddanymi austriackiego cesarza, wcielono do austro-węgierskiego Polskiego Korpusu Posiłkowego i wysłano do walk na Bukowinie. Natomiast Józef Piłsudski wraz z Kazimierzem Sosnkowskim zostali w nocy 21 lipca 1917 r. aresztowani i wywiezieni do twierdzy w Magdeburgu.

Po tych wydarzeniach członkowie Tymczasowej Rady Stanu 25 sierpnia 1917 r. postanowili zakończyć jej działalność. „Tuż przed zebraniem plenarnym w sprawie dymisji delegacja TRS udała się do abp. warszawskiego A. Kakowskiego i Prezydenta miasta Warszawy Z. Lubomirskiego z propozycją uznania się przez nich za regentów i przejęcia zakresu władzy po TRS" – opisuje Zdzisław Julian Winnicki.

Ci jednak niespecjalnie mieli ochotę na indywidualne podjęcie się ryzykownej funkcji. Zatem Rada utworzyła Komisję Przejściową, która przejęła pieczę nad istniejącymi już zalążkami polskiej administracji. Jednocześnie przekazała von Beselerowi projekt powołania Rady Regencyjnej. Ta sprawowałaby realną władzę w Królestwie Polskim, aż do momentu wskazania osoby monarchy.

Jako że wojna układała się coraz bardziej nie po myśli Państw Centralnych, inicjatywa Tymczasowej Rady Stanu spotkała się z zainteresowaniem. Przyniosło ono 12 września 1917 r. uroczysty Patent dwu cesarzy, przekazujący rządy w Królestwie Polskim trzyosobowej Radzie Regencyjnej. Acz zastrzegał on, że na czas wojny Niemcy i Austro-Węgry zachowają na ziemiach polskich władzę, jaką sobie nadały.

Wkrótce potem Berlin i Wiedeń bez problemu zaakceptowały skład nowej Rady. Zasiedli w niej metropolita warszawski abp Aleksander Kakowski, prezydent miasta książę Zdzisław Lubomirski oraz przywódca Stronnictwa Polityki Realnej Józef Ostrowski. Aby nadać jak największą rangę temu wydarzeniu, uroczystości mu towarzyszące naśladowały intronizację monarchy. „Odbyły się 27 października 1917 r. w Katedrze św. Jana w Warszawie oraz na Zamku Królewskim w Warszawie. Pierwszym etapem było uroczyste nabożeństwo wraz z przysięgą Rady Regencyjnej, drugim objęcie urzędowania poprzez wygłoszenie «Orędzia do Narodu» obwieszczającego objęcie najwyższej władzy w Królestwie Polskim" – opisuje Winnicki.

Ku niepodległości

Rada Regencyjna stała się kolegialną głową państwa. Podlegały jej Rada Ministrów oraz Rada Stanu, pełniąca funkcję kadłubowego parlamentu. Cały problem polegał na tym, że wprawdzie stworzono strukturę niezbędną do rządzenia krajem, jednak niezmiennie ostatnie słowo należało do gen. Hansa von Beselera. Zaś jego celem było pozyskiwanie z ziem polskich jak największej liczby rekrutów, żywności oraz innych dóbr niezbędnych II Rzeszy do prowadzenia wojny.

Wkrótce doszedł też jeszcze jeden problem. Bolszewicy po przejęciu władzy w Rosji zgodzili się na podpisanie w Brześciu układu pokojowego, przynoszącego Niemcom mnóstwo korzyści. Zakończenie wojny na wschodzie przywróciło w Berlinie nadzieję, iż nim amerykańska armia pojawi się w Europie, uda się pokonać Ententę. Zatem przystąpiono do układania w Europie Środkowej nowych porządków kosztem Polaków. Utworzone pod niemieckim protektoratem państwo ukraińskie, zwane Hetmanatem, potrzebne było Niemcom do gwarantowania regularnych dostaw zbóż oraz pilnowania porządku na wschodzie. To obiecał Berlinowi, w zamian za wsparcie, hetman Pawło Skoropadski. „W wyniku czego bez pytania o zgodę polskich organów państwowych w Królestwie umawiające się strony postanowiły wyłączyć z Królestwa i przekazać państwu ukraińskiemu obszar Chełmszczyzny" – relacjonuje Zdzisław Julian Winnicki.

Ten fakt oraz zlekceważenie protestów Rady Regencyjnej wzbudziły powszechną wściekłość wśród Polaków. W Królestwie i Galicji zaczęły się strajki. Stojący na czele rządu premier Jan Kucharzewski podał się do dymisji. Zaś Rada Regencyjna ogłosiła, iż „przed Bogiem i przed światem, przed obliczem ludzi i przed trybunałem dziejów, przed ludem niemieckim i przed ludami Austro-Węgier" nigdy nie uzna oddania Chełmszczyzny Ukraińcom. Po czym adiutant abp. Kakowskiego zawiózł do Berlina list tłumaczący, czemu Niemcy popełniają olbrzymi błąd. Udało mu się przekonać Kancelarię Rzeszy, by dostarczyła go do rąk cesarza. Ten zaś uznał racje Polaków i wstrzymał zamianę biegu granic. Jednak utworzenie Ukrainy przekreślało marzenie o odrodzeniu wielkiej Rzeczpospolitej, sięgającej po Dźwinę.

Tymczasem ofensywa ostatniej szansy na froncie zachodnim poniosła wiosną 1918 r. klęskę i Państwa Centralne czekała już nieuchronna przegrana. W tym czasie Rada Regencyjna i podlegający jej rząd skupiły się na polonizacji szkolnictwa oraz sądów. Nadano polskie statuty Uniwersytetowi Warszawskiemu, Politechnice Warszawskiej oraz Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Na początku listopada 1918 r. udało się przejąć jurysdykcję także nad Uniwersytetem Jagiellońskim oraz Uniwersytetem Lwowskim. Pośpiesznie kształcono przyszłe kadry administracyjne.

Zaś 26 października 1918 r. bez oglądania się na Berlin utworzono Ministerstwo Spraw Zewnętrznych oraz Ministerstwo Spraw Wojskowych. Równocześnie powstał Sztab Generalny Wojsk Polskich, którego szefem został gen. Tadeusz Rozwadowski. Dwa dni później Rada Regencyjna ogłosiła w Królestwie powszechny obowiązek służby wojskowej oraz pobór do polskiej armii. Kiedy książę Zdzisław Lubomirski 10 listopada 1918 r. udał się na dworzec kolejowy, żeby przywitać wracającego z Magdeburga Piłsudskiego, Królestwo Polskie było gotowe na niepodległość. ©℗

eprasa.pl 07e1667bc0

KOMUNIKATY

Zarząd Dzielnicy Śródmieście
Miasta Stołecznego Warszawy

informuje,

że 6 listopada 2026 r. na stronie internetowej
Urzędu Dzielnicy Śródmieście Miasta Stołecznego Warszawy
www.srodmiescie.um.warszawa.pl,

został zamieszczony wykaz o numerze 8/P/2026 o przeznaczeniu do sprzedaży w drodze przetargu ustnego nieograniczonego lokalu mieszkalnego oznaczonego numer 2A stanowiącego własność miasta stołecznego Warszawy, położonego przy ul. S. Noakowskiego 10. Wykaz został również wywieszony na okres 21 dni na Elektronicznej Tablicy Ogłoszeń Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy (ETO) www.eto.um.warszawa.pl.

AUTOPROMOCJA

DGP | Dziennik Gazeta Prawna



Najważniejsze ryzyka karne związane z zarządzaniem przedsiębiorstwem

Kup
sklep.infor.pl

OBWIESZCZENIE
WOJEWODY WIELKOPOLSKIEGO
z 3 listopada 2026 r.

Na podstawie art. 7 ust. 1 pkt 3 i ust. 1c ustawy z dnia 24 lipca 2015 r. o przygotowaniu i realizacji strategicznych inwestycji w zakresie sieci przesyłowych (Dz.U. z 2024 r. poz. 1199) – zwanej dalej: ustawą,

zawiadamiam

o wszczęciu na wniosek ENERGA – OPERATOR S.A. postępowania w sprawie wydania decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej dla przedsięwzięcia pn: „Przebudowa linii elektroenergetycznej WN 110 kV relacji Adamów – Żuki – Kalisz Piwonice odcinek GPZ Ceków – GPZ Kalisz Piwonice".

Oznaczenie nieruchomości objętych wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej:

– w nawiasach podano numery ksiąg wieczystych.

Powiat kaliski
Gmina Ceków Kolonia

Jednostka ewidencyjna: 300703_2, Ceków Kolonia

Obręb: 0001 Beznatka
Działki o nr ewid.: 3/2 (KZ1A/00086612/7), 17/3 (KZ1A/00007277/9);

Obręb: 0002 Ceków
Działki o nr ewid.: 159/4 (KZ1A/00061755/0), 159/6 (KZ1A/00099002/2), 159/9 (KZ1A/00098731/4), 159/10 (KZ1A/00098734/5), 160 (KZ1A/00101137/5) 171 (KZ1A/00065234/0), 184/1 (KZ1A/0033685/3);

Obręb: 0003 Ceków Kolonia
Działki o nr ewid.: 29/4 (KZ1A/00004192/8), 29/6 (KZ1A/00053198/8), 29/8 (KZ1A/00074350/5), 29/9 (KZ1A/00089504/8), 52 (KZ1A/00030688/3), 62/1 (KZ1A/00011146/3);

Obręb: 0005 Kamień
Działki o nr ewid.: 15 (KZ1A/00025488/3), 25/2 (KZ1A/00091845/7), 26 (KZ1A/00011333/1), 30 (KZ1A/00096689/0), 49 (KZ1A/00036292/2), 51 (KZ1A/00063393/8), 55/4 (KZ1A/00026804/2), 61 (KZ1A/00007395/2), 100/2 (KZ1A/00014313/6), 101 (KZ1A/00007335/4), 106 (KZ1A/00014313/6), 107 (KZ1A/00014313/6), 108 (KZ1A/00014313/6), 130 (KZ1A/00014313/6), 131 (KZ1A/00014313/6);

Obręb: 0007 Kosmów Kolonia
Działki o nr ewid.: 173/1 (KZ1A/00049125/5), 206 (KZ1A/00013798/2), 285 (KZ1A/00000978/4), 292 (KZ1A/00100144/0), 293 (KZ1A/00005281/6);

Obręb: 0009 Morawin
Działki o nr ewid.: 64 (KZ1A/00068317/7), 77 (KZ1A/00009181/3);

Obręb: 0012 Podzborów
Działki o nr ewid.: 41/4 (KZ1A/00061085/2), 42 (KZ1A/00047554/7), 47 (KZ1A/00027190/1), 106 (KZ1A/00053286/2), 108 (KZ1A/00053286/2), 110 (KZ1A/00013303/6);

Obręb: 0018 Szadek
Działki o nr ewid.: 16 (KZ1A/00007898/8), 18 (KZ1A/00007898/8), 22 (KZ1A/00027285/4), 24/2 (KZ1A/00078831/9), 61 (KZ1A/00019592/0), 64/2 (KZ1A/00010312/1);

Gmina Żelazków

Jednostka ewidencyjna: 300711 2, Żelazków

Obręb: 0005 Dębe
Działki o nr ewid.: 3/9 (KZ1A/00040760/5), 4/17 (KZ1A/00099565/6), 6 (KZ1A/00040760/5), 11/3 (KZ1A/00006685/5), 12 (KZ1A/00036238/6), 13/5 (KZ1A/00062146/5), 16/3 (KZ1A/00019022/4), 31/3 (KZ1A/00068107/2), 33/2 (KZ1A/00085548/0), 116/3 (KZ1A/00040760/5), 123 (KZ1A/00034779/6), 125/2 (KZ1A/00101005/1), 135 (KZ1A/00028981/0), 138/9 (KZ1A/00030227/4), 176/1 (KZ1A/00017149/6), 177/1 (KZ1A/00015894/9), 285 (brak KW), 286 (KZ1A/00006713/1);

Obręb: 0006 Florentyna
Działka o nr ewid.: 120/3 (KZ1A/00026715/1);

Obręb: 0022 Zborów
Działka o nr ewid.: 404 (KZ1A/00007337/8);

Gmina Opatówek

Jednostka ewidencyjna: 300708_5, Opatówek – obszar wiejski

Obręb: 0011 Nędzerzew
Działki o nr ewid.: 72 (KZ1A/00033886/2), 88 (KZ1A/00027191/8);

Obręb: 0015 Rożdżały
Działki o nr ewid.: 255 (KZ1A/00006962/1), 259/2 (KZ1A/00041784/6), 283/4 (KZ1A/00009723/5), 308 (KZ1A/00011092/9), 309 (KZ1A/00006883/3);Obręb: 0019 Tłokinia Kościelna
Działki o nr ewid.: 207(KZ1A/00014848/5), 210/1 (KZ1A/00009724/2), 220/1 (KZ1A/00084619/2), 220/2 (KZ1A/00008422/8), 228/6 (KZ1A/00006719/3), 5085 (KZ1A/00040174/0);

Miasto Kalisz

Jednostka ewidencyjna 306101_1_Kalisz – miasto

Obręb: 0118 Rypinek
Działka o nr ewid.: 8/7 (KZ1A/00047097/5);

Obręb: 0147 Piwonice Kol. Wsch.
Działki o nr ewid.: 3/4 (KZ1A/00022994/2), 4/4 (KZ1A/00022947/8);

Obręb: 0150 Rajsków
Działki o nr ewid.: 218 (KZ1A/00057855/0), 219 (KZ1A/00005161/9), 220 (KZ1A/00047686/1), 223 (KZ1A/00006496/3), 265 (KZ1A/00071797/9), 290 (KZ1A/00082778/0), 309 (KZ1A/00012100/6);

Obręb: 0152 Winiary
Działki o nr ewid.: 5/5 (KZ1A/00085197/4), 19 (KZ1A/00077008/4), 20 (KZ1A/00005997/8), 21 (KZ1A/00005997/8), 30/6 (KZ1A/00071332/2), 44 (KZ1A/00007299/9), 51/1 (KZ1A/00006492/5), 53/15 (KZ1A/00043645/4), 116/7 (KZ1A/00003476/6), 116/8 (KZ1A/00003476/6), 116/9 (KZ1A/00060972/0), 138/2 (KZ1A/00051673/8), 139 (KZ1A/00063022/7), 155/3 (KZ1A/00001971/2), 188 (KZ1A/00063021/0), 931/6 (KZ1A/ 00060972/0).

Zgodnie z art. 49 § 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. – Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2025 r. poz. 1691) – zwanej dalej: Kpa, w związku z art. 7 ust. 1 ustawy, zawiadomienie pozostałych stron postępowania uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od **4 listopada 2026 r.,** tj. dnia, w którym nastąpiło publiczne ogłoszenie poprzez obwieszczenie w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, w Biuletynie Informacji Publicznej na stronie podmiotowej WUW w Poznaniu, we właściwych miejscowo urzędach gmin, a także w prasie o zasięgu ogólnopolskim.

W przypadku gdy po dokonaniu niniejszego zawiadomienia nastąpi:

1) zbycie własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu inwestycji towarzyszącej lokalizacji strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej,
2) przeniesienie wskutek innego zdarzenia prawnego własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu inwestycji towarzyszącej lokalizacji strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej,
   – nabywca, a w przypadku, o którym mowa w pkt 1, nabywca i zbywca, są obowiązani do zgłoszenia właściwemu wojewodzie danych nowego właściciela lub użytkownika wieczystego.

Niedokonanie powyższego zgłoszenia i prowadzenie postępowania bez udziału nowego właściciela lub użytkownika wieczystego nie stanowi podstawy do wznowienia postępowania.

Zgodnie z art. 10 Kpa, strony postępowania lub ich przedstawiciele i pełnomocnicy mogą zapoznać się z aktami sprawy w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, Wydział Infrastruktury, Al. Niepodległości 16/18, pok. 105 bud. C, (tel.: 61 854 12 89; e-mail: mkossakowska@poznan.uw.gov.pl; godziny obsługi klientów: poniedziałek, środa, piątek od 8:30 do 15:00; wtorek, czwartek od 12:00 do 15:00, w celu zapewnienia sprawnego przebiegu obsługi, uprzejmie proszę o wcześniejsze uzgodnienie terminu wizyty), a także mają prawo wypowiedzieć się co do zebranych dowodów i materiałów oraz zgłoszonych żądań, jak również składać ewentualne uwagi.

Mapy przedstawiające granice terenu objętego wnioskiem zostaną zamieszczone wraz z obwieszczeniem **4 listopada 2026 r.** na stronie internetowej: www.poznan.uw.gov.pl, w zakładce Ogłoszenia.

eprasa.pl 07e1667bc0



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Wielki paradoks energetyczny Ameryki

Rafał Woś

Republikanie przegrali połówkowe wybory do Kongresu USA. Jedną z przyczyn tej porażki był wzrost cen paliw, do którego doszło po zaatakowaniu Iranu przez Amerykę pospołu z Izraelem. Jest w tym głęboki paradoks. A polega on na tym, że Stany Zjednoczone są dziś gospodarką niezależną energetycznie. Jak to możliwe?

Aby wyjaśnić tę pozorną sprzeczność, trzeba się cofnąć o pół wieku. Jest przełom lat 70. i 80., zaś w światowej gospodarce trwa najgłębszy w historii kryzys naftowy. Kilka lat później – w 1983 r. – ekonomista James D. Hamilton publikuje pracę o wpływie ropy na amerykański cykl koniunkturalny. Stawia tezę, że okresy ostrych wzrostów cen na rynkach światowych pociągają za sobą spadek koniunktury i wzrost bezrobocia w USA. To właśnie dzieje się po 1973 r., gdy bezrobocie skacze z 4 proc. do 9 proc. Kolejne lata potwierdzają obserwację Hamiltona. Po wybuchu wojny iracko-irańskiej (lata 80.), czy w wyniku Arabskiej Wiosny (2010–2012) ceny ropy idą w górę, a wraz z nimi amerykańskie bezrobocie.

Dlaczego tak się dzieje? Bo Ameryka jest krajem zależnym od importu surowca. I to mimo znacznych zasobów własnych. Ta zależność ujawniła się po raz pierwszy na początku lat 70. Amerykanie zareagowali wówczas w sposób paniczny: już w 1975 r. uchwalono zakaz eksportu ropy. Administracja prezydenta Forda (i kolejne) liczyła, że dzięki temu energetyczna samowystarczalność zostanie odbudowana. Ale to się nie działo.

Przeciwnie – w wyniku zniknięcia bodźca eksportowego amerykańska produkcja ropy zaczęła spadać: z poziomu ok. 10 mln baryłek dziennie w 1970 r. do mniej niż 6 mln baryłek cztery dekady później. Jednocześnie rósł import ropy: z poziomu 5 mln baryłek dziennie w 1980 r. do szczytowych 14 mln ok. 2008 r.

I wtedy nastąpiło otrzeźwienie. Wywołała je rewolucja łupkowa, czyli wykorzystanie metody szczelinowania hydraulicznego (frackingu) do wydobywania gazu i ropy ze złóż niekonwencjonalnych. Za jej orientacyjny początek uznaje się 2010 r. W ciągu następnych 15 lat trendy energetyczne odwróciły się w Ameryce diametralnie. Produkcja ropy wzrosła do 14 mln baryłek dziennie, import netto spadł zaś do zera. Sprawiając, że dziś USA eksportują znacznie więcej ropy, niż kupują. Wojna 2026 r. w Iranie była czymś w rodzaju zwieńczenia tego procesu. I to dlatego reszta świata tak mocno obawiała się czasowego embarga na eksport amerykańskiej ropy, którego nałożenie administracja Trumpa rozważała przed listopadowymi wyborami. Ostatecznie jednak tego nie zrobiła. A świat odetchnął z ulgą.

Jakie są konsekwencje opisanej tu zmiany? Ekonomiści Diego Kanzig (Uniwersytet Północno-Zachodni), James Stock (Uniwersytet Harvarda) i Luca Zanotti (Uniwersytet Północno-Zachodni) pokazali, że najważniejszy skutek faktycznego odzyskania przez Amerykę suwerenności energetycznej jest następujący. Od 15 lat amerykański cykl koniunkturalny nie jest już powiązany z rynkową ceną ropy. Innymi słowy: gdy ropa drożeje na potęgę (jak po ataku Rosji na Ukrainę albo po zaatakowaniu Iranu), to poziom bezrobocia w USA pozostaje na bardzo niskim poziomie. W gospodarce nie ma zaś śladów recesji.

To nie oznacza, że Amerykanie nie odczuwają wzrostu cen oleju napędowego oraz benzyny. Odczuwają, bo te ceny urosły z powodu ogólnego wzrostu cen paliw na światowych rynkach. Te wysokie (jak na Amerykę) podwyżki pozostają nieprzyjemną okolicznością dla gospodarstw domowych, lecz nie uderzają – zdaniem Kanziga, Stocka i Zanottiego – w fundamenty gospodarki.

Dla republikanów żadne to pocieszenie, bo polityczny rachunek za drogiego diesla właśnie zapłacili. Ale to tylko kolejny dowód, że logika procesów ekonomicznych oraz cyklów politycznych nigdy nie będą ze sobą całkowicie spójne. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Nie każda inwestycja się zwraca

Drogi, mosty, linie kolejowe, szkoły, szpitale – im więcej, tym lepiej. Takie myślenie bywa kosztowną iluzją

Anatol Roettke

Autor jest ekonomistą GRAPE

W polityce gospodarczej istnieje szczególnie trwały mit: że inwestycje publiczne są zawsze dobre. Drogi, mosty, linie kolejowe, szkoły, szpitale – im więcej, tym lepiej. Jeśli rośnie dług, trudno: to inwestycje, one się zwrócą. Badanie Amata Adarova oraz Ugo Panizzy pokazuje jednak, że to myślenie bywa kosztowną iluzją.

Adarov (Bank Światowy) i Panizza (Geneva Graduate Institute) stawiają tezę prostą, lecz politycznie niewygodną: o skutkach inwestycji publicznych decyduje nie tylko ich skala, lecz także jakość. Nie jest to intuicja publicystyczna, lecz wniosek oparty na unikatowej bazie danych obejmującej tysiące projektów realizowanych w ponad 120 krajach na przestrzeni dwóch dekad. Ta baza danych, oparta na niezależnych ocenach ex post projektów BŚ, pozwala autorom zmierzyć coś, co dotąd wymykało się statystyce – czy publiczne inwestycje faktycznie działają: czy osiągnęły cele i zrobiły to efektywnie? Na tej podstawie powstaje indeks jakości inwestycji publicznych – miernik realnych efektów, a nie papierowych obietnic.

Wynik jest jednoznaczny. Ten sam wzrost inwestycji publicznych prowadzi do zupełnie różnych konsekwencji fiskalnych w zależności od jakości ich realizacji. W krajach o wysokiej jakości inwestycji większe nakłady obniżają ryzyko, zmniejszają koszty obsługi długu i – w długim okresie – mogą redukować relację długu do PKB. Inwestycje potrafią się tam wręcz „same finansować”.

W krajach o niskiej jakości inwestycji sytuacja wygląda odwrotnie. Więcej inwestycji oznacza wyższe ryzyko, droższe finansowanie oraz narastający dług. Projekty nie generują wystarczającego wzrostu, za to tworzą trwałe zobowiązania: koszty utrzymania infrastruktury, straty operacyjne, presję na budżet. To białe słonie – inwestycje, które dobrze wyglądają na slajdach, ale źle w bilansie państwa.

I tu pojawia się najważniejszy – i najbardziej praktyczny – wniosek z badania. Dla krajów rozwijających się, szczególnie o niskich dochodach, wysoka jakość inwestycji publicznych nie jest luksusem, lecz warunkiem stabilności makroekonomicznej. Tam, gdzie przestrzeń fiskalna jest ograniczona, dostęp do rynków kapitałowych niestabilny, a koszty długu wysokie, źle zaprojektowana fala inwestycji może szybko zagrozić wypłacalności państwa.

Ekonomiści podkreślają, że właśnie w tych krajach – zmagających się z wysokimi spreadami, niskimi ratingami i lukami infrastrukturalnymi – jakość inwestycji decyduje o tym, czy dług stanie się narzędziem rozwoju, czy źródłem kryzysu. Problem polega na tym, że są to jednocześnie państwa, które najczęściej mają najsłabsze systemy zarządzania inwestycjami publicznymi.

Stąd wniosek idący dalej niż sama krytyka. Jeśli inwestycje publiczne mają rzeczywiście wspierać wzrost w krajach o niskich dochodach, potrzebne jest wsparcie instytucjonalne i finansowe ze strony społeczności międzynarodowej. A więc lepsze przygotowanie projektów, ich selekcja, monitoring i ocena – zgodnie z ramami wypracowanymi przez Bank Światowy i MFW. Do tego potrzebne są lepsze reguły wydatkowe, zarządzanie długiem oraz finansowanie na preferencyjnych warunkach.

Innymi słowy: inwestycje publiczne mogą przyspieszyć rozwój, ale tylko tam, gdzie państwo potrafi nimi dobrze zarządzać lub gdzie otrzymuje realne wsparcie w budowie takich zdolności. Bez tego nawet najszlachetniejsze intencje kończą się słonym rachunkiem.

Ostatecznie pytanie nie brzmi więc: czy inwestować więcej? Pytanie brzmi: czy umiemy inwestować mądrze? Bo, jak pokazuje to badanie, rynki finansowe nie nagradzają intencji. Nagradzają efekty, co widać w wycenach długu, wycenach ryzyka bankructwa oraz ratingach kredytowych. ©℗

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Czy państwo może zbankrutować? Granice długu”

eprasa.pl 07e1667bc0

REKLAMA

ŠKODA

Czas Odkrywców

korzystne **oferty**

auta dostępne **od ręki**

atrakcyjne **finansowanie**



korzyści do

37 000 zł

Odwiedź salon Škody
i odkryj ofertę dla siebie

Zeskanuj i sprawdź ofertę >

Sprawdź szczegóły korzyści i oferty na skoda.pl. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów Kodeksu cywilnego. Obowiązuje do odwołania. Zmodyfikowane przez AI. Informacje na temat odzysku i recyklingu pojazdów znajdą Państwo na stronie skoda.pl. Dla modelu Kodiaq Sportline zużycie paliwa wynosi od 5,4 l / 100 km do 7,9 l / 100 km, emisja CO_2 od 138 g/km do 179 g/km. Dla modelu Octavia Sportline Liftback zużycie paliwa wynosi od 4,6 l / 100 km do 7,0 l / 100 km, emisja CO_2 od 117g/km do159 g/km. Dla modelu Superb Combi paliwa wynosi od 4,9 l / 100 km do 8,1 l / 100 km, emisja CO_2 od 117g/km do 185g/km. Dane na podstawie świadectw homologacji typu, określone w cyklu mieszanym.

eprasa.pl 07e1667bc0